czas. 2552/1982/8

W numerze m. in.: o piłce nożnej inaczej ◆ proza A. Twerdochliba o rodzinie prominenckiej ◆ opowiadanie wakacyjne o świętej krowie ◆ TSA - młodość, żywioł, fantazja

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Rok założenia 1933

kamena

NR 8 (753) 18 - 31 lipca 1982 CENA 10 ZŁ

Rozmowa z profesorem Bobrowskim

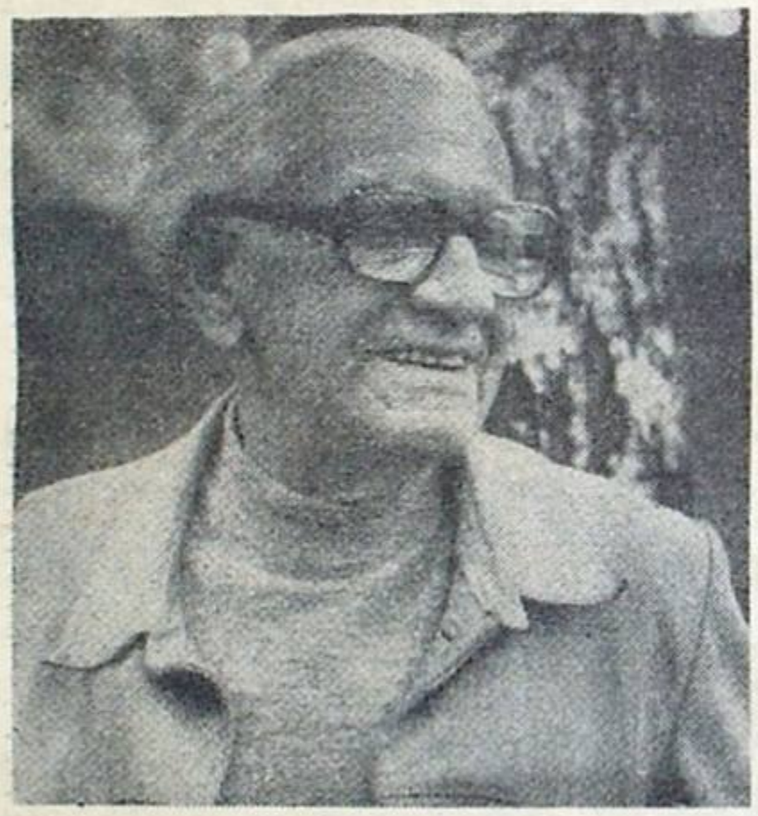

Fot. Tadeusz Poźniak

MICHAŁ ZIELIŃSKI: — Panie profesorze, we wszystkich dotychczasowych wywiadach wypowiadał się pan jako ekspert od spraw gospodarczych, mówił pan o reformie, szansach i warunkach wyjścia z kryzysu itd. W tej rozmowie chciałbym, aby prof. Bobrowski opowiedział o Czesławie Bobrowskim.

CZESŁAW BOBROWSKI: — Sądzi pan, że może to zainteresować czytelników?

M.Z.: — Na pewno. Z tego, co wiem pański życiorys jest materiałem na fascynującą książkę, w której powinien znaleźć się fragment o pańskich lubelskich początkach literackich.

CZ.B.: — Nie wiedziałem, że ktoś jeszcze pamięta moją przygodę z literaturą. Rzeczywiście byłem związany z Lublinem w czasach młodości. Więcej, jeżeli za kryterium pochodzenia przyjmiemy miejsce, w którym człowiek chodził do szkoły i dojrzewał, jestem z Lublina.

M.Z.: — Ale urodził się pan w Sarnach na Polesiu?

CZ.B.: — Nie całkiem, jeżeli tak można powiedzieć.

M.Z.: — Tak przecież podaje encyklopedia!

CZ.B.: — To bardziej moja wina niż encyklopedii. Naprawdę urodziłem się w klinice w Warszawie. Wkrótce po porodzie mama wyjechała do Baranowicz. W przedwojennych papierach miałem podaną pobliską wioskę — Nowa Mysz — jako miejsce urodzenia. A Sarny wyniknęły stąd, że wyrabiając dokumenty podczas wojny, w 1941 we Francji postanowiłem podać jako miejsce urodzenia miejscowość taką, która znajdowała się po obydwu stronach linii Ribbentrop-Mołotow. Wtedy nie wiadomo było, po której stronie tej linii lepiej — w razie czego — się znaleźć. Wspominał pan o literaturze. Nigdy nie zamierzałem zajmować się działalnością stricte pisarską, natomiast w młodości sądziłem, że będę krytykiem literackim, teoretykiem, słowem kimś, kto jest „przy literaturze". Nie przeszedłem nawet przez młodzieńczą chorobę pisania wierszy, mimo że większość moich ówczesnych przyjaciół z kręgów: „Młodzieży", „Lucifera" i „Reflektora" była poetami: Bielski, Czechowicz, Gralewski i wielu innych. Raz tylko zmuszony zostałem do twórczości fabularnej. I była to sroga kara za wybiegi z miejscem urodzenia. Spotkałem kiedyś, za

Dokończenie na str. 8

Rys. Józef Tarłowski

Lubelskie lato kulturalne 1944

Ireneusz J. Kamiński

NIEWIARYGODNE, ale rzetelnie prawdziwe: w czasie zaledwie trzech tygodni od momentu wyzwolenia miasta (25 lipca 1944 r). rozpoczęły działalność teatry, redakcje gazet, kina, rozgłośnia radiowa, zorganizowały się środowiska twórcze i odpowiednie resorty, zainicjowano dyskusje programowe Nie osłabia wymowy tej sytuacji fakt, iż wielką część tego dob-

Dokończenie na str. 3

z notatnika

5 VII. Po wczorajszym remisie naszej reprezentacji (jakiej reprezentacji — wiadomo!) mamy już zapewniony medal. Teraz rzecz w tym, jaki to będzie... Piłkarze wygrali zasłużenie. Piszę „wygrali", bo w danym wypadku już sam remis był zwycięstwem. Stało się to, o czym nie śmieli marzyć najwięksi optymiści: jesteśmy w półfinałach!

Dziś toczył się pojedynek między Brazylią a Włochami. Przed meczem trener Górski postawił w telewizji na Włochy i okazało się, że tym razem nosa miał znakomitego. Brazylia, której wróżono laury najwyższe, przegrała z Rossim, tak jak Belgia z Bońkiem... Oczywiście przesadzam, bo nie tylko ci dwaj zawodnicy toczyli ostry bój na boisku. Piłka nożna to gra kolektywna: jeden napastnik może strzelić i trzy gole, ale gdy kiepska obrona, wówczas przeciwnik mimo tego gotów jest drużynie sprawić łaźnię. Właśnie wskutek nienajlepszej defensywy Brazylia przegrała zarówno mecz jak i wielką szansę. Zgubiła ją też zbyt wielka pewność siebie. Tak to już bywa, gdy dzieli się skórę niedźwiedzia, kiedy zwierz nie został jeszcze upolowany. Łuk triumfalny, jaki wierni kibice budowali na powitanie zawodników w Brazylii, trzeba będzie rozebrać przed jego ostatecznym postawieniem. A to, co na ojczystej ziemi czeka drużynę i trenera... strach nawet pomyśleć — znając temperament południowców...

W półfinale spotykamy się więc z Włochami, a nie z Brazylią. Ha! Tego nikt nie przewidział!

(Czytelnicy, gdy numer ukaże się w druku, będą znać już wszystkie wyniki, dlatego moje dzisiejsze rozważania już nikogo nie zainteresują. Pomijam je więc. Smutno jednak, że zapowiedziana rozmowa telefoniczna z wysłannikiem „Kameny" na Mundial nagrała się tak fatalnie na taśmę magnetofonową, że nie sposób jej zrelacjonować na łamach. Ale do Mundialu będziemy jeszcze wracać już nie w nerwowej atmosferze. „Kamena" to nie dziennik...).

6 VII. Zakończyły się dwudniowe obrady Sejmu. Sejm jednomyślnie, ale po wszechstronnej analizie, udzielił rządowi absolutorium oraz uchwalił budżet na 1982 rok.

W debacie budżetowej wystąpił poseł sprawozdawca Zbigniew Gertych. Nie mam zamiaru streszczać jego wystąpienia, ale chcę zwrócić uwagę na pewien szczegół. W pierwszym przedłożeniu rządowym deficyt budżetu państwa wynosił 368 mld zł. Zdaniem posłów i zaproszonych do debaty ekspertów świadczył on o wybitnie inflacyjnym charakterze propozycji. Posłowie zwracali uwagę, że w latach ubiegłych deficyt był pokrywany z k r e d y t ó w z a g r a n i c z n y c h, na które obecnie liczyć nie możemy. W związku z tym posłowie zaproponowali radykalne zmniejszenie deficytu budżetowego — o co najmniej 200 mld zł — poprzez zmniejszenie wydatków, a zwiększenie dochodów i to dochodów pochodzących ze źródeł nie emisyjnych. Zmiany w budżecie powinny iść w kierunku ograniczenia jego inflacyjnego charakteru, tak by można było wykorzystać budżet państwa jako instrument zapobiegający destabilizacji rynku.

Powtarzam: „Posłowie zwaracali uwagę, że w latach ubiegłych deficyt był pokrywany z kredytów zagranicznych..." No i strunę tak się przeciągało, że ta wreszcie musiała pęknąć, bo nie można wiecznie żyć z pożyczek.

W „Panoramie" znalazłem korespondującą z tym (w pewnym sensie) wypowiedź przewodniczącego Zarządu Głównego ZSMP: „Przez ostatnie 10 lat królowała ideologia obiecywania młodzieży lepszego wspaniałego życia. [...] Mówiąc np. o pracy dla każdego nie powiedziano, co to znaczy dla kraju przygotowanie setek tysięcy nowych stanowisk. Fascynując się rozwojem motoryzacji nie wspomniano, że odbywa się on kosztem polskiego rolnictwa. Obiecując każdemu mieszkanie przemilczano problem efektywności fabryk domów. Dzisiaj nikt już nic nie obiecuje, nic nie daje za darmo. Więc młodzież jest rozgoryczona..."

Z debaty poselskiej kilka głosów:

Witold Jankowski, bezp. PAX: — W tej chwili prowadzi się politykę deflacyjną, politykę ściągania pieniędzy. Trzeba jednak pamiętać, że hamuje ona aktywność gospodarczą, a więc powoduje coś wręcz przeciwnego od zasadniczego celu wdrażanej obecnie reformy gospodarczej.

Stefan Biskupski, ZSL: — W produkcji wciąż liczą się tylko sztuki. Nikt nie zwraca uwagi na jakość. Maszyny i części zamienne wykonywane są z nieodpowiednich materiałów. Powoduje to przedwczesne zużywanie się elementów co pogłębia i tak już głęboki deficyt części zamiennych. Wciąż łatwiej jest kupić cały podzespół lub nawet maszynę niż tę najbardziej zużywającą się część.

Gustaw Śliwa, SD: — Rachunek ekonomiczny musi stać się — zgodnie z ustawą o przedsiębiorstwach państwowych — głównym kryterium decydującym o funkcjonowaniu jednostek gospodarczych. Drobna wytwórczość jest tym działem gospodarki — zarówno w części uspołecznionej, jak i nieuspołecznionej — który jak busolę w swej działalności umieścił rachunek ekonomiczny. Pokazuje to, iż można odbiurokratyzować działalność gospodarczą i że wdrażanie reformy gospodarczej, zapoczątkowanej uchwałą Rady Ministrów w sprawie drobnej wytwórczości, nie może polegać na taktyce ruchów pozornych.

Zygmunt Łapiński, PZPR: — Niepokoi bezwład i stare nawyki części kadry gospodarczej, która przyzwyczaiła się do systemu centralnego sterowania gospodarką i nie przejawia dostatecznej inicjatywy w nowych warunkach. Ludzie ci powinni dokładnie znać zasady reformy, ale przede wszystkim posiąść umiejętności ich stosowania w życiu.

Stanisław Rostworowski, bezp. ChSS, okr. wyb. Lublin: — Powinno się rozwijać zakłady rzemieślnicze i spółdzielczość produkcyjno-usługową po godzinach pracy, czynne również w wolne soboty, aby ludziom chcącym pracować na dwóch etatach dać pole do aktywizacji zawodowej. Jedyną drogą do wstrzymania inflacji i wzrostu dochodów ludności jest podwojenie aktywności zawodowej całej populacji znajdującej się w przedziale wieku produkcyjnego, z uwzględnieniem również młodzieży i osób w wieku emerytalnym.

Na marginesie tej ostatniej wypowiedzi przypomina mi się felieton Klaksona z ostatniego numeru „Szpilek" Autor pisze o pewnym prywaciarzu spod Warszawy, który produkuje letnie pantofle i sprzedaje je po 1700 zł. Podeszwę stanowi plasterek zwykłej gumy i plecionka z konopnego sznurka Trzyma się to nogi dzięki dwom paskom z lnianej taśmy 1700 zł płaci się głównie za hiszpańską nazwę („eskuriale estragony, czy coś takiego"). Klakson zapytuje: „Dlaczego państwowy przemysł nie zalał kraju tego rodzaju produktami?" Potem zaś dalej snuje swe rozważania: „Jeśli niemożliwym jest wdarcie się konkurencyjne państwowego przemysłu w wytwórczość sznacianych pantofli do rozwiązania byłaby jeszcze jedna zagadka ekonomiczna: dlaczego przy wszystkich protekcjach dla rzemiosła jeden, lub niewiele więcej niż jeden przedsiębiorczy człowiek w stolicy szyje dobre pantofle ze sznurka i lnianej taśmy? Czego popyt nie pobudza przedsiębiorczości? Dlaczego inni wolą siedzieć w domu i narzekać? [...] Przypuszczam, że socjalizm zniszczył psychiczne podglebie kapitalizmu. Krąg ludzi zdolnych do prywatnej inicjatywy jest u nas niezwykle ograniczony. [...] Wbrew wszystkiemu, co się mniema, a niektórzy nawet głoszą — ustrój nasz uformował zupełnie nowego człowieka, różniącego się od ludzi w kapitaliźmie. Człowiekiem socjalizmu jest się nawet wówczas, kiedy ustrój ten odrzuca się i zwalcza. Gdyby miłośnicy kapitalizmu odnieśli zwycięstwo i ów kapitalizm w Polsce zdołali przywrócić, być może okazałoby się, że wywalczyli ustrój, w którym sami nie mogą żyć, a już absolutnie nie potrafi w nim egzystować społeczeństwo. Moim zdaniem reforma gospodarcza nie jest operacją wyłącznie ekonomiczną, ale także wychowawczą. Ma ona na celu wyhodowanie nowej mutacji człowieka socjalizmu, pozbawionego bezwładności, zdolnego do dostosowywania technologii wytwórczej do istniejących surowców, elastycznego w gospodarowaniu do tego stopnia, że potrafiącego zdobyć kopyta drewniane do produkcji łapci (a nie zdolnego tylko do napisania pisma do Komisji Planowania, że z powodu braku kopyt należałoby je wstawić do planu)".

Felieton ma swoje prawa, ale podumać nad nim warto. Nie chodzi tu tylko o sprawę pantofli, choć buty zaczynają już stawać się problemem. Kiedyś mówiło się: myślenie ma kolosalną przyszłość. Dziś można powiedzieć: nie przyszłość, ale t e r a ź n i e j s z o ś ć.

Wracam jednak do debaty sejmowej. Rozgłośnie zachodnie najwięcej uwagi poświęcają wypowiedzi posła Romualda Bukowskiego, bezpartyjnego, z okręgu wyborczego w Gdyni, który apelował o „uruchomienie zawieszonych struktur i organizacji społecznych, przywrócenie swobód obywatelskich, wreszcie zniesienie stanu wojennego lub choćby zastąpienie go mniej drastyczną formułą" (cytuję za „Rzeczpospolitą"). Apelować można, ale realia mimo to realiami pozostają. Właśnie w 26 n-rze zachodnioniemieckiego tygodnika „Der Spiegel" z 28 czerwca br. ukazał się wywiad ze Zbigniewem Romaszewskim. Ów działacz KSS KOR, szef tzw. biura interwencyjnego Regionu „Solidarności" Mazowsze, („Physiker aus Warschau") żyje, jak stwierdza „Der Spiegel" w podziemiu i jest organizatorem potajemnej rozgłośni radia „Solidarność". Romaszewski stwierdza w tym wywiadzie, że „robotnik nie jest gotów więcej produkować kiedy on wie, że jego produkt zostanie obrócony przeciwko niemu" Chciałoby się zapytać Romaszewskiego: a strajki w okresie przedgrudniowym przeciwko komu k o n k r e t n i e były obrócone? Ale nie jest to w wywiadzie najistotniejsze Romaszewski wyraźnie daje do zrozumienia, że chce podsycać w kraju ogień dążąc do umiędzynarodowienia sprawy polskiej na jesieni, kiedy ma dojść do rozmów Breżniewa i Reagana Jego zdaniem „jedyną możliwością skłonienia rządu do ustępstw jest zorganizowanie nacisku w formie podziemnego ruchu oporu".

Trudno więc poważnie mówić o uruchomieniu „zawieszonych struktur i organizacji społecznych", jeśli w niektórych z nich a przynajmniej w jednej, dalej chcą działać ludzie typu Romaszewskiego Ale to problem daleko szerszy (Dopisuję 7 VII: W dzienniku telewizyjnym pokazano, skąd nadchodzą radiowe aparaty nadawcze dla Romaszewskiego Nikt takich prezentów nie sprawia sobie a muzom Ciągle są na świecie siły zainteresowane destabilizacją sytuacji w Polsce zwłaszcza w okresie, kiedy wydarzenia na Bliskim Wschodzie, agresja izraelska na Liban w dwuznacznej, mówiąc delikatnie, roli stawiają administrację amerykańską...).

A swoją drogą przychodzi mi na myśl pewna refleksja. Mijają właśnie dwa lata od protestu lubelskiej klasy robotniczej, protestu w gruncie rzeczy skierowanego przeciwko gwałceniu socjalistycznej praworządności. Jak szybko następowała eskalacja haseł, żądań! Jak szybko nowi przywódcy, często z zewnątrz i nie z klasy robotniczej się wywodzący, zamiast mostów zaczęli stawiać barykady...

Znów odbiegłem od tematu, chociaż dzisiaj temat ściga temat.

Sejm dokonał wyboru Trybunału Stanu i Rady Społeczno-Gospodarczej. W Trybunale Stanu są m. in. z Lubelskiego: **Andrzej Burda** — profesor na Wydziale Prawa i Administracji UMCS oraz **Henryk Groszyk** — profesor, dziekan Wydziału Prawa i Administracji UMSC, a także (jako zastępca członka Trybunału) — **Bolesław Wójtowicz** — ślusarz, emerytowany pracownik „Unitry" w Lubartowie. Natomiast do Rady Społeczno-Gospodarczej przy Sejmie PRL wybrano m. in. z naszego regionu: **Stanisława Bęcala** — rolnika z woj. zamojskiego, **Mieczysława Bojarczyka** — adiunkta w Instytucie Uprawy Roli i Roślin Akademii Rolniczej w Lublinie, **Jerzego Jeżewicza** — ślusarza z FSC w Lublinie, **Leopolda Mierzwińskiego** — rolnika z woj lubelskiego, i **Władysława Zielińskiego** — brygadzistę w Cukrowni „Lublin".

Ogółem w składzie Rady znajduje się 40 robotników, 23 rolników indywidualnych, 6 pracowników PGR i spółdzielni produkcyjnych, 3 rzemieślników, 4 pracowników spółdzielczości i 5 pracowników nauki.

Rada Społeczno-Gospodarcza jest organem opiniodawczym i doradczym Sejmu. Poseł Jan Szczepański nazwał ją „Izbą zdrowego rozsądku".

Chciałoby się, aby cała Polska, nasz wspólny Dom był D o m e m z d r o w e g o r o z s ą d k u.

M. A. Jaworski

KRONIKA

● Na początku lipca tow. Wiesław Skrzydło, I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR, spotkał się z kierownictwami redakcji i egzekutywami POP lubelskich dzienników i czasopism oraz Radia i TV, kontynuując robocze kontakty z różnymi środowiskami społeczno-zawodowymi regionu. Przedmiotem otwartej dyskusji były podstawowe problemy lubelskiego dziennikarstwa, w tym sprawa szerszego dostępu do informacji, określających działalność administracji państwowej i przedsiębiorstw.

● XVI Ogólnopolski Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu Dolnym zakończył się... ulewą, która uniemożliwiła koncert laureatów. Poza tym imprezę można uznać za udaną. Główne nagrody w poszczególnych kategoriach otrzymały: kapela braci Trzpiłów z Mierżączki w woj. siedleckim, zespół śpiewaczy z Rozkopaczewa I w woj. lubelskim. Wśród instrumentalistów nagrodę taką („Basztę") przyznano Janowi Stochowi z Poronina, a najlepszym śpiewakiem okazała się Joanna Rachańska z Łubczy w woj. zamojskim. Ponadto nagrodzono kilkunastu wyróżniających się uczestników konkursu „Duży — Mały".

● Giełda samochodowa na początku lipca (ceny wywoławcze): fiat 126p sprzed pół roku — 415 tys. zł, nowy polonez — 950 tys. zł. Ceny niektórych owoców i warzyw na targowiskach: duża główka kapusty — 55 zł, ziemniaki — 35 zł, pęczek rzodkiewek — 20 zł, kg czereśni — od 190 do 200 zł.

● Karol Siciński (1884—1965) był architektem, konserwatorem zabytków i malarzem, człowiekiem, który odbudował Kazimierz Dolny ze zniszczeń ostatniej wojny. Jego życie i twórczość przypomina interesująca wystawa w kazimierskiej Galerii Letniej, którą można oglądać przez lipiec i sierpień. Polecamy! (W kolejnym numerze pisma zamieścimy artykuł o K. Sicińskim.)

● Od 1976 r. UMCS współpracuje z Lock Haven State College w USA, wymieniając z amerykańską uczelnią studentów i pracowników nauki oraz prowadząc wspólne badania w zakresie nauk matematycznych, przyrodniczych, humanistycznych i społecznych. Zasady i zakres dalszego współdziałania obu instytucji ustalono podczas wizyty w UMCS dr. Jorge J. Motteta z Lock Haven.

● Budżet województwa lubelskiego na rok bieżący wynosi 17 mld zł, a więc jest wyższy o 100 proc. od tego, jakim dysponowaliśmy w r. 1981. Budziłoby to nawet optymistyczne nastroje, gdyby nie fakt, że ceny materiałów i usług wzrosły w tym czasie trzykrotnie, średnio rzecz biorąc. W tej sytuacji priorytet będą miały wydatki na ochronę ludności przed skutkami kryzysu gospodarczego, przy jednoczesnym ograniczeniu nakładów na inwestycje.

● Ciekawe pokazy sztuki: malarstwa Alfonsa Mazurkiewicza (1922—1975) w Galerii 72 w Chełmie (do 20 lipca) oraz obiektów i dokumentacji z akcji Marii Pinińskiej-Bereś w lubelskim BWA (koniec czerwca — lipiec). O tej ostatniej wystawie napisalibyśmy chętnie więcej, ale szanujemy wolę artystyki, która na drzwiach do sali ekspozycyjnej wywiesiła kartkę z żądaniem wykluczającym prasowe recenzje prezentowanych przez nią przedmiotów i druków. Ile w tym jednak przekonania, a ile kokieterii, któż to wie?!

● Na oczach wielu ludzi, w jasne popołudnie dwóch facetów napadło młodego mężczyznę, rabując mu portfel i zegarek oraz boksując Człowiek wołał pomocy — mieszkańcy ul Diamentowej w Lublinie woleli udawać, że nie słyszą.

Lubelskie lato kulturalne 1944

Dokończenie ze str. 1

ra przyniosło ze sobą wojsko, że to właśnie ludzie w mundurach, z natury rzeczy sprawni i szybcy w działaniu, byli zasadniczą siłą wielu przedsięwzięć. Swiadczy to po prostu dobrze o wewnętrznej polityce naszej młodej armii — zresztą: kto wówczas z twórców kultury nie służył w wojsku, albo wczoraj jeszcze nie był w partyzantce?! Nieliczni, zazwyczaj ci, którzy nie mogli.

Jeden z fenomenów Polski lubelskiej sprowadza się właśnie do tempa, z jakim przystąpiono do odbudowy kultury narodowej: równocześnie we wssystkich bez mała jej dziedzinach. Tego historycznego zadania nie można by jednak realizować bez żywego udziału całego społeczeństwa. Przypadek bosego Albina ze „Ślubów panieńskich", któremu jeden z widzów pożycza własne buty i w skarpetkach siedząc dalej obserwuje przedstawienie Teatru 1 Armii Wojska Polskiego na wolnej scenie lubelskiej, przypadek sam w sobie zabawny i wzruszający, był w gruncie rzeczy symbolem ogólniejszej sytuacji: serdecznego nachylenia się wolnych ludzi w kierunku kultury. Czego od niej oczekiwali? Polskości, słowa polskiego, potwierdzenia własnej tożsamości narodowej, spełnienia skrywanych aspiracji, zwyczajnej rozrywki, towarzyskiej przygody, satysfakcji estetycznej? Zapewne, gdzieś w tym rejestrze należałoby szukać wartości ściągających publiczność do teatrów, kin, na koncerty i wystawy malarstwa wreszcie, nie wahając się jednak zbytnio przed umieszczeniem na czołowym miejscu owej listy motywów patriotycznych. Warto przecież postawić jeszcze jedno pytanie: czy zbiorowości zagrożonej niedawno biologicznym wyniszczeniem nie ciągnął do kultury po prostu instynkt życia? I czy powszechne uczestnictwo w różnych manifestacjach kultury artystycznej nie poświadczało żywotności fizycznej, psychicznej i moralnej Polaków?

Wokół teatru i w świadomości ludzi, którzy go właśnie opuścili, panował jednak stan wyjątkowy Historii, choć w perspektywie ulicy wiele rzeczy wabiło spokojną zwyczajnością. Na rynku sprzedawcy zachwalali „Parówki, świeże gorące parówki!", inni zachęcali „Do papierosów, prawdziwych, machorkowych papierosów!" Sprawozdawca jednej z gazet skrupulatnie wyliczał dobrodziejstwo targowego inwentarza, zda się pożerając oczyma ogórki, kapustę, pomidory, fasolę, bober, cebulę, mleko i „biały czosnek, jakiego nie powstydziłby się ukraiński czarnoziem" Nieoczekiwanie coś mu się jednak nie spodobało, mimo że było pięknie uczesane i błyszczało lakierowanymi paznokciami. Ale w tych dłoniach widniała litrowa butelka niemieckiej wódki. „Zdawało mi się, że na butli z likierem widzę odciski skrwawionych palców niemieckiego żołdaka". I zaraz autorowi przypomniała się scena z więzienia, gdzie hitlerowski żandarm uspokaja kolegę po fachu: „Poczekaj na mnie trochę, mam tylko zastrzelić jedną Żydówkę, a potem zjemy razem podwieczorek".

Na dokumentalnych filmach radzieckich o zbrodniach hitlerowskich publiczność ciężkim milczeniem zapadała w krzesła, rycząc z radości na widok dywizji niemieckich pokonanych pod Moskwą i jenieckim marszem przemierzających rozległe ulice stolicy Kraju Rad.

Do redakcji napływały listy czytelników, którzy z oburzeniem zwracali uwagę, że niemieccy jeńcy wojenni odżywiani są dość przyzwoicie, podczas gdy żołnierze radzieccy w hitlerowskiej niewoli morzeni byli głodem.

Prasa publikowała nazwiska wybitnych Polaków zamordowanych podczas okupacji, radio uruchomiło skrzynkę poszukiwania rodzin, w „Rzeczypospolitej" ukazywały się pierwsze reportaże i wspomnienia więźniów Majdanka, działała komisja polsko-radziecka do zbadania zbrodni popełnionych w tym obozie, o którego śmiertelnej treści pisały już gazety moskiewskie, nowojorskie i londyńskie dzięki korespondencjom Konstantego Simonowa — a tymczasem jakiś technik dentystyczny zgłaszał w gazecie chęć kupienia sztucznych zębów, co w kontekście wiedzy o „praktykach stomatologicznych" na Majdanku musiało budzić dwuznaczne skojarzenia.

Warszawa krwawiła, wojska radzieckie atakowały Sandomierz, alianci toczyli wielką bitwę w Normandii... a w Lublinie przygotowywano się do otwarcia szkół podstawowych, przyjmowano zapisy do średnich, poprzez ogłoszenia prasowe poszukiwano zaginionych psów, oferowano rowery przedwojenne, tzw. balonówki na drewnianych obręczach, koty sjamskie, fiołki alpejskie oraz usługi w zakresie medycyny i nauki języków obcych: angielskiego, francuskiego i — signum temporis — rosyjskiego.

Czas zwycięstwa mieszał się z czasem żałoby, sprawy wielkie z drobnicą życia, euforia pierwszych dni wolności z niepokojem o jutro.

Tak, odbudowę kultury polskiej rozpoczęto w warunkach stanu wyjątkowego Historii.

Kilka tygodni po wyzwoleniu Lublina w Teatrze Miejskim odbył się wieczór literacki „Poezja polska 1939—1944", podczas którego recytowano utwory Stanisława Balińskiego Władysława Broniewskiego, Zofii Bystrzycki..j, J.zefa Czechowicza, Jana Huszczy, Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, Stanisława Jerzego Leca, Leona Pasternaka, Jerzego Putramenta, Antoniego Słonimskiego, Elżbiety Szemplińskiej, Lucjana Szenwalda, Juliana Tuwima i Stanisławy Zakrzewskiej. Premierowy festiwal poetycki miał więc świetną, poza wyjątkami, obsadę i zrozumiałe, że publiczność wypełniła teatr do ostatniego miejsca, płacąc po kilkanaście złotych za bilet Zresztą dochód z wieczoru przeznaczono na cele pożyteczne: fundusz organizacyjny Związku Zawodowego Literatów Polskich i szpital ewakuacyjny 1 Armii Wojska Polskiego Tymczasem impreza jakby zawiodła oczekiwania.

Jak twierdzi naoczny świadek — kierownik Wydziału Wydawniczego Resortu Informacji i Propagandy, Jan Aleksander Król, już na wstępie zmroził publiczność zamiast zwięzłej i jasnej pogadanki wygłaszając „zawiłe wypracowanie" Na domiar złego i aktorzy recytujący wiersze także nie stanęli na wysokości zadania przyznając się do stylistyki deklamacyjnej rodem z „najbardziej głuchej prowincji". W ogóle, zdaniem recenzenta, cały program wieczoru budził poważne zastrzeżenia, bo został ułożony pod kątem zainteresowań i możliwości słuchaczy bardziej wyrobionych. Tymczasem obecnie, po pięciu latach okupacji, trzeba uczyć ludzi od podstaw, „dawać im na razie rzeczy najbardziej zrozumiałe, najbardziej przemawiające do uczucia, a nie np. awangardowe utwory Czechowicza".

W planie scenicznym rzecz została przecież uratowana przez Putramenta, Pasternaka i Zakrzewską, którzy sami zgrabnie odczytali własne wiersze, a w planie bardziej zasadniczym — przez Słonimskiego i Tuwima Ich łatwe, zrozumiałe utwory pięknie zresztą recytowały panie: Buyno i Zielińska.

Tak czy inaczej, konkludował Janusz Minkiewicz, potknięcia programowe i realizacyjne mogą zrazić publiczność, która takim zaufaniem obdarzyła organizatorów wieczoru.

Nominowanie Minkiewicza na znakomitość ze sfery krytyki literackiej byłoby zapewne czymś niesprawiedliwym wobec historii i samego satyryka, m.in. autora sloganów propagandowych „Rzeczypospolitej" w rodzaju „Drogą gdańską i poznańską/ Idź zabijać dzicz germańską" Nie ulega jednak wątpliwości, że czołowa postać późniejszego „Stańczyka" dysponowała znaczną kulturą literacką i „znakomitym rozeznaniem wśród gustów i oczekiwań ówczesnej publiczności. Minkiewicz obecny był wszędzie: w redakcjach, sferach rządowych, w kawiarniach, za kulisami teatru, może nawet na targowisku (w charakterze klienta). Wiedział, co w trawie piszczy, trafnie określał zadania literatury w tym specyficznym okresie, w którym garnęli się do niej także ludzie spoza tzw. elity, a 50 km od Lublina trwała wojna. Racje Minkiewicza to jednak tylko jedna strona sprawy, druga, w zupełnie innym sensie, definiował sam fakt wystąpienia poetów, równoznaczny z manifestacją żywotności polskiej literatury.

Większość autorów deklamowanych wierszy przebywała w Lublinie, na ogół z powodów wojennych. Zofia Bystrzycka, podporucznik Wojska Polskiego, pełniła funkcję korektorki „Rzeczypospolitej" i ludzie do dziś zachodzą w głowę, jakim cudem w gazecie spotykało się tak mało „literówek" czy innych błędów, Jan Huszcza także przyleciał ze wschodu i do tej samej redakcji, będąc przez pewien czas jakby nadwornym poetą pisma. Poza tym — wspominał po latach — „Chodziło się na jakieś „prywatki" w wypożyczonych, za ciasnych półbutach; brało udział w naradach; łaziło się ze swoją przyszłą żoną do parku i do „Teatralnej"; pisało się wiersze w oparciu o parapet okienny, gdyż nie było wygodniejszego miejsca:

Cienie, cienie błądzą u okien —
jak dobrze znam cieni nazwiska!
Przed trzydziestym dziewiątym rokiem
toczył się księżyc nad uroczyska.
Do tamtych wieczorów samogon
co dzień ścieżki i trop plątał —
tamta radość, tamten zabobon
dziś czuwa jak szczęście czy klątwa".

Kazimierz Andrzej Jaworski przymierzał się w Chełmie do wznowienia „Kameny" Stanisław Jerzy Lec po wyjściu z partyzanckiego lasu piastował odpowiedzialne stanowisko kierownika Wydziału Propagandy i Cenzury w Wojewódzkiej Radzie Narodowej. Leon Pasternak był szefem Wydziału Literatury w Resorcie Kultury i Sztuki PKWN, Jerzy Putrament — wiadomo, Lucjan Szenwald jeszcze niedawno zapisywał kronikę 1 Dywizji, Stanisława Zakrzewska pisywała dla „Rzeczypospolitej" emfatyczne wiersze o tematyce okupacyjno-wojennej i organizowała z mężem teatrzyk kukiełkowy „Bi-Ba-Bo", którego pierwszy program miał zawierać takie historie: „Cwaniak — spekulant" „Smutne losy świni volksdeutschini" i „But—samo—chód"; wielce spodobały się one ministrowi Rzymowskiemu.

Kilku poetów przebywało jeszcze na emigracji: Stanisław Baliński w Londynie (gdzie miał zostać na stałe), Antoni Słonimski tamże Władysław Broniewski w armii Andersa. Julian Tuwim w Nowym Jorku. Dowcip historii: poza krajem przebywali pisarze wybitni, uprawiający poetyki które mogłyby wyjątkowo czytelnie i sugestywnie ponieść w Polskę autorską refleksję nad poniżaniem i walką człowieka.

Od 1939 roku nie żył Józef Czechowicz zabity odłamkiem bomby podczas wizyty w zakładzie fryzjerskim w pobliżu miejsca, gdzie dziś w Lublinie wznosi się jego pomnik.

Dwa dni po wieczorze w Teatrze Miejskim — zginął Lucjan Szenwald. Wyjątkowo ruchliwy człowiek, poeta który swoją twórczością w pewnym sensie spajał duchowo dywizję kościuszkowską — poniósł śmierć w wypadku samochodowym. Przypomnijmy ostatnią zwrotkę jego „Ballady o Pierwszym Batalionie" który pod Lenino w szaleńczym ataku zdobył trzy linie okopów nieprzyjaciela ponosząc wielkie straty:

I kruszy, i łamie, i depce, i wali,
Dopada, szturmuje i bierze!
W Trubugowej pod jabłonkami zostali
Ostatni zabici żołnierze.
Zostali ochraniać tu strzechy i progi —
Metr tej, co do kraju przywiedzie nas, drogi.

Szenwald brał udział w walkach tego batalionu (w którym służył także Anatol Mikułko).

Po śmierci poety prof. M. Grigoriew, radca kulturalny przedstawicielstwa Rządu ZSRR przy PKWN, złożył kondolencje na ręce ministra Rzymowskiego.

Nekrolog Szenwalda ukazał się w prasie równocześnie z zawiadomieniem o śmierci Leona Chwistka. Były członek awangardowej grupy „Formiści Polscy", logik, filozof, estetyk, profesor uniwersytetu lwowskiego — podczas wojennego pobytu w Związku Radzieckim Chwistek okazał się jednym z wybitniejszych działaczy Związku Patriotów Polskich, zmierzającym do zjednoczenia Polaków przebywających w ZSRR. Autor „Zagadnień kultury duchowej w Polsce" był ponadto członkiem Krajowej Rady Narodowej. Zmarł po długotrwałej, ciężkiej chorobie w Moskwie.

Awangarda artystyczna z reguły opowiadała się po stronie lewicy politycznej. Podczas wojny i na wyzwolonych terenach 1944 roku znana ta prawda doczekała się kolejnego potwierdzenia. Leon Chwistek, Aleksander Rafałowski, Aleksander Ford, Julian Przyboś, a więc twórcy należący kiedyś lub nadal tkwiący w awangardzie, z miejsca zaakceptowali program KRN i PKWN. Jesienią 1944 roku autor „Z ponad" kierował dwoma Wydziałami WRN w Rzeszowie: Kultury i Sztuki oraz Propagandy i Informacji. I choć wiele wskazuje na to, że Przyboś niewiele zdziałał na tym stanowisku, do którego nie predestynowała go natura, fakt pozostaje faktem o charakterze deklaracji politycznej.

Skąpe jeszcze, proporcjonalne do kształtu wydarzeń wiadomości o życiu literackim Lublina docierały do innych miast przede wszystkim dzięki numerom „Rzeczypospolitej", która zyskała wielką popularność wśród cywilów i wojska, stając się nawet przedmiotem spekulacji: zamiast złotówki, za jeden egzemplarz płacono po pięć, siedem, a nawet dziewięć złotych. „W warunkach frontowych ilość gazet wysyłanych do pułków — niedostateczna. Gazety są czytane łapczywie, ale nie zawsze dochodzą. Specjalną sympatią żołnierzy cieszy się „Rzeczpospolita". Zważywszy to, należy: zwiększyć co najmniej trzykrotnie ilość „Rzeczypospolitej", a w każdym razie stworzyć specjalny rozdzielnik dla jednostek frontowych, zwiększając im ilość „Rzeczypospolitej" i „Zwyciężymy" — informowali dowództwo lustratorzy jednostek 2 dywizji piechoty w Zabieńcu. A pomyśleć, że dziennik zbliżał się wtedy do 60 tysięcy nakładu. Głód prasy (informacji) był jednak znacznie większy, możliwości kolportażu — ograniczone, mimo wsparcia transportu wojskowego cywilnym: 23 sierpnia uruchomiono pierwszą kolejową linię ruchu osobowego Lublin — Rozwadów oraz pasażerską komunikację lotniczą do Białegostoku (z przedłużeniem raz w tygodniu do Wilna) i Rzeszowa (raz w tygodniu do Lwowa).

Ireneusz J. Kamiński

Jak nas widzą w Ameryce? (2)

Zygmunt Radłowski

W POPRZEDNIEJ części przytaczałem treść negatywnych stereotypów o Polakach i Polsce, uwarunkowanych złożoną sytuacją społeczno-polityczną naszego narodu oraz podłożem klasowym, które dynamizowało i utrzymywało ten stereotyp jako instrument propagandy, a mówiąc ściślej — dyfamacji, wymierzony przeciw narodowi polskiemu. W związku z tym wydaje się konieczne postawienie kilku pytań podstawowych:

Jeżeli stereotyp jest zjawiskiem socjologicznym, bytującym na powierzchni życia społecznego i uwarunkowanym niskim stanem kultury, dlaczego więc, mimo upływu 100 lat od czasu wielkiej emigracji Polaków do USA oraz postępujących procesów urbanizacyjnych, utrzymuje się on nadal? Dlaczego jest tak dynamiczny?

Na ile jest to zjawisko antypolskie, a na ile etniczne?

Czy w Ameryce możliwa jest propaganda antypolska i kto jest zainteresowany w jej uprawianiu?

Zdaniem moim, właśnie określone koła wielkoniemieckie i syjonistyczne zainteresowane są żywotnością negatywnego stereotypu Polski i Polaka. Czy mam na to dowody i czy takie twierdzenie może w ogóle mieć uzasadnienie w obiektywnej rzeczywistości? A jeżeli tak, to w jakim sensie?

Nim odpowiem na postawione tu pytanie, przedstawię więcej faktów. Uważam, że jeżeli stereotyp Polaka w Stanach wynika tylko z izolacjonizmu grup polskich, odrębności kulturowej i językowej czy niskiego poziomu cywilizacyjnego, to po upływie kilkudziesięciu lat, w wyniku procesów integracyjnych i adaptacyjnych powinien on stopniowo obumierać. Mógłby ten stereotyp funkcjonować jako kategoria historyczna dla badań socjologicznych; żyje on jednak bardzo dynamicznie i nie socjolodzy podtrzymują jego żywotność w swych rozprawach naukowych, lecz wkracza on jako kategoria dyfamacyjna do telewizji, filmu, poligrafii, słowem — do całej sfery oddziaływania i urabiania mentalności oraz opinii, nie tylko zresztą amerykańskiej.

Chodzi o to, aby poprzez drzwi Ameryki przenosił się on i rozprzestrzeniał na inne kraje, wówczas nie będzie argumentów, że jest to propaganda antypolska uprawiana przez koła rewizjonistów zachodnioniemieckich. Nie można się bowiem zgodzić z twierdzeniem (które wiele mogłoby usprawiedliwić), że tylko polska grupa etniczna w Ameryce reprezentuje, czy też reprezentowała, niski poziom kulturalny w amerykańskim tyglu narodów. Można wskazać grupy etniczne, w stosunku do których nasza uzyskałaby wyższą cenę. Nie chodzi mi o domaganie się pozytywnego autoportretu naszej grupy, ale o to, że przeciw żadnej grupie (poza żydowską) nie skierowano tylu inwektyw, co przeciw Polsce i Polakom. Ta konwencja antypolskiej dyfamacji bardzo mocno koreluje w okresie przesileń politycznych na linii Polska — Niemcy i naszego stosunku do syjonizmu.

Pozornie jest wszystko dobrze, wolne żarty! — każdy może naśmiewać się z przywar lub nieporadności drugiego. Pozytywne dowcipy są dopuszczalne w życiu między narodami, ale kiedy od lat atakuje się jeden naród i jego członków, to należy poważnie się zastanowi, czy jest to zwykła konwencja quasi literacka, moda, fala itp., czy też celowa działalność wymierzona przeciw temu narodowi.

Jak podaje Eugeniusz Kusielewicz (ówczesny Prezes Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku) w swym referacie na spotkaniu uczonych polskiego pochodzenia w Krakowie w 1974 roku — Wiesław Kuniczak, znany pisarz polsko-amerykański, laureat nagrody „Book of the Month Club" przeprowadził swego czasu ankietę na temat, co słowo „polski", w znaczeniu Polak-Amerykanin, znaczyło dla Amerykanów. Otrzymał on następujące odpowiedzi: „antysemita", „ignorant", „antyliberalny" „reakcjonista", „wulgarny", „głośny", „wieśniak", „pijak", „katolicki", „feudalny", „twardy", „uczciwy" (z sugestią, że Polacy są za głupi, żeby kraść), „dzielny" (z sugestią, że Polak nie ma dość wyobraźni, aby być ostrożnym).

Jak już stwierdziłem — analizowany tu obraz Polaka żyje od dawna. W roku 1935 wyprodukowano film „Czarna wściekłość" („Black Fury"). Paul Muni grał tam Józefa Radka, polskiego górnika, pyszałkowatego, pijanego analfabetę, który ślepo przewodzi strajkowi i zostaje wystrychnięty na dudka przez łamiących ten strajk gangsterów. W najlepszym przypadku górnicy Polscy przedstawieni są jako niefrasobliwi głupcy. W filmie z 1941 roku, „Kłótnia w nocy" („Clash by Night"), wszyscy występujący w nim Polacy są przedstawieni jako degeneraci lub tępi pijacy zamroczeni wódką i piwem.

W 1944 roku powstał film „W naszych czasach" („In our Time"), przedstawiający Polskę jako „kraj upadku i rozpaczy", by użyć tu wyrażenia Besleya Crawthera z jego recenzji w „New York Times". Film przedstawia zupełnie średniowieczną Polskę (tuż przed II wojną światową) uciskaną przez szlachtę. Angielka, żona polskiego hrabiego, uczy Polaków „demokracji" i pokazuje maszyny rolnicze wieśniakom przedstawionym jako prymitywni ludzie jaskiniowi.

Ta antypolska dyfamacja w filmie trwa do dziś. Podam tu tylko tytuły z datą produkcji: 1948 „Anna Lucasta", 1949 „Zapukaj do mych drzwi", 1951 „Bohater soboty", 1955 „Krzyk bojowy", 1958 „Jacobowski i pułkownik", 1958 „Oddział specjalny", „Task Force" (ukazuje „Polaka" — jak go nazywają koledzy — człowieka o najgorszym monstrualnym charakterze, który zabija ludzi jak opętany, aż wreszcie sam zostaje zabity — tylko naziści są gorsi od niego), 1959 „Niektórzy lubią to na gorąco", 1969 „Niech nikt nie pisze mi epitafium", „The battle of Britain" — 1969. Poza tym „The End" z roku 1978 i „Holocoust", wyświetlany we wszystkich krajach Europy Zachodniej, w którym Polacy rozstrzeliwują Żydów, oraz ostatni serial pt. QB-VII o lekarzu pochodzenia polskiego w Oświęcimiu który uśmiercał Żydów.

Są też sztuki teatralne, jak np. „Tramwaj zwany pożądaniem", „Człowiek o złotym ramieniu", „Wstań i świeć".

Typowe przykłady humoru ukazującego się w telewizyjnej serii „Śmiej się": „Ostatni wypadek w szeregu porwań zdarzył się dzisiaj w Parma, Ohio, gdy ktoś wskoczył do śmieciarki i krzyknął: zawracajcie, jedziemy do Warszawy!". Kiedy indziej: „Warszawa, Polska. Polskie próby olimpijskie zostały odwołane dzisiaj, gdyż zginął bumerang". Przy innej okazji: „Poważna sytuacja polityczna zaistniała między narodami Układu Warszawskiego, gdy Polska przez pomyłkę najechała na siebie". Inny przykład: „Poinformowane źródła z Warszawy donoszą, że wystrzelenie pierwszej polskiej rakiety na Księżyc zostało odwołane do czasu, gdy rząd zdoła wyprodukować zapałkę zdolną do spowodowania zapłonu".

Podaję dalej za Kusielewiczem. Nie katalogując wszystkich programów telewizyjnych, które przyczyniły się do powstania negatywnego stereotypu, myślę, że powinienem zwrócić uwagę na jeszcze co najmniej jeden: „Wszystko w rodzinie" („All in the Family"). W tej cotygodniowej serii bohaterem jest Mike, zięć, o którym mówi się stale jako o „głupim Polaku". Dyrektorzy twierdzą, że „głupi Polak" jest właściwie naprawdę bystry, gdyż zwykle przyjmuje postawę postępową w stosunku do wszystkich spraw. Początkowo w oryginalnym skrypcie Mike miał być „głupim Żydem", ale z powodu spodziewanej opozycji ze strony grupy żydowskiej zmieniony został na Polaka, *ponieważ Polacy nie protestują nigdy. I niestety ten wniosek jest słuszny* — konkluduje Kusielewicz.

Niestety — należy podkreślić — brak jest dowodów na to, aby Polska kierowała oficjalne dyplomatyczne protesty, poza jednym przypadkiem, związanym z filmem „The End". Nie było tych protestów przed wojną i nie ma ich także w naszej powojennej historii charakteryzującej się przecież wzrostem oficjalnych stosunków bilateralnych.

Z faktami podanymi powyżej koreluje stwierdzenie Andrew Greeleya, który pisze: „Polacy są ostatnim osiągalnym kozłem ofiarnym w amerykańskim społeczeństwie, *the quintesential ethic hard-hat racist hawk*. Nieważne, że dane nie potwierdzają stereotypu, amerykańska elita musi mieć kozła ofiarnego i odkąd Żydzi i Murzyni nie mogą już pełnić tej roli, katolicy, w szczególności etniczni katolicy, a jeszcze szczególniej polscy „etniczni" katolicy stali się oczywistym przedmiotem ataków [...].

Polacy są ciągle *underdogs* (co w wolnym tłumaczeniu brzmi „niżsi od psów") w Stanach Zjednoczonych i nie wygląda na to, aby ktoś się tym bardzo przejmował".

Istnieje francuskie przysłowie: *qui s'excuse, s'accuse* („kto się usprawiedliwia, ten się oskarża"). Istnieje też inne, bardziej — jak się wydaje — przydatne w naszej pracy informacyjnej o Polsce dla zagranicy: *qui tacet, consentria videtur* („kto milczy, zdaje się zezwalać").

Andrzej Kapiszewski w swej pracy „Stereotyp Amerykanów polskiego pochodzenia" twierdzi: „Nie sądzę, by lansowane w okresie zimnej wojny, a także, choć w mniejszym stopniu, obecne wyobrażenia o Polakach-komunistach rzutowały w przeważającym stopniu na wyobrażenia o *Polish — Americans*. W większym natomiast stopniu propaganda antypolska wpływa na samoocenę członków polskiej grupy etnicznej poprzez ich uczuciowe związki z krajem pochodzenia".

„Polemizowałbym — twierdzi dalej A. Kapiszewski — z EugeniuszemKusielewiczem, który upatruje głównych przyczyn rozprzestrzeniania się negatywnych wyobrażeń o Amerykanach polskiego pochodzenia w akcjach żydowskiego lobby w Stanach Zjednoczonych, czy z opiniami Wiesława Kuniczaka, podkreślającymi rolę antypolskiej propagandy rządu Niemiec Zachodnich".

„Po pierwsze uważam — twierdzi A. Kapiszewski — że jeżeli nawet istniejący obecnie stereotyp Amerykanów polskiego pochodzenia jest inspirowany w określonym celu przez pewne grupy społeczne i nie ma bliższego związku tak z dawnym stereotypem spolskich imigrantów, jak i współczesnymi cechami *Polish Americans*, to celem takich inspiracji może być nie tylko polityka antykomunistyczna, ale na przykład rywalizacja ekonomiczna lub konflikty kulturowe czy religijne. Po drugie sądzę, że przyczyn aktualnej postaci tego stereotypu szukać można i w innych czynnikach. Jak już wspominałem, ze względu na sztywność tego typu wyobrażeń, istniejący stereotyp Amerykanów polskiego pochodzenia może stanowić bezpośrednią kontynuację stereotypu dawnych polskich imigrantów i nie może mieć żadnego związku z obecnym stanem i przemianami, jakie zaszły, wśród polskiej grupy etnicznej, zmianami, które powinny wywołać pozytywne przewartościowanie dawnego stereotypu. Następnie stereotyp ten, jakkolwiek oparty na dawnym podłożu, może mieć źródła we współczesnych spostrzeżeniach i opiniach o często już trzeciej czy czwartej generacji Amerykanów polskiego pochodzenia, którzy, *zdaniem pewnych osób*, na tle innych grup etnicznych nie dokonali znaczniejszego postępu i dlatego negatywny stereotyp stanowi odbicie ich aktualnego niskiego prestiżu czy pozycji na skali dystansu społecznego. Pewną rolę może tu odegrać względna separacja polskiej grupy, utrudniająca kontakty z innymi grupami etnicznymi, a tym samym uniemożliwiająca weryfikację sądów o niej".

Mamy zatem odpowiedź, którą można byłoby sprecyzować krótko: nie antykomunizm i nie antypolska propaganda, a prymitywność polskiej zbiorowości w Ameryce jest przyczyną, że źle o niej mówią. Taka ocena jednak wydaje się być co najmniej dyskusyjna. Bo przecież, jeżeli się mówi o Polsce dzisiejszej w kawałach i filmach, to poza pewną konwencją w konstrukcji dowcipu główna ich treść ma charakter antypolski w ogóle, a nie etniczny.

Dokończenie nastąpi

Zza kulis kabaretu

Kto się wstydzi „Gracji"...

PODSZCZYPYWANIE władz oraz znanych osobistości należy niejako do dyżurnych obowiązków wszystkich scenek satyrycznych. Nie inaczej postępowano także na scenach miejscowych kabaretów, chociaż muszę przyznać, że to szczypanie miejscowych osobistości nigdy za mocne nie było, a czasami przypominało wręcz pieszczoty. Mimo tego sporo osób obrażało się, usiłowało odegrać się na autorach czy wręcz uniemożliwić wystawienie tekstu o sobie, jako że zainteresowani jakimś przedziwnym trafem zawsze dowiadywali się o swoim „udziale w programie" jeszcze przed oficjalną premierą.

Do dzisiaj nie potrafię sobie wytłumaczyć, dlaczego wszystkie bez wyjątku szopkowe osobistości z naszego miasta największe uczulenie wykazywały, gdy ujawnialiśmy ich więzy z tak szanowaną i znaną w całym niemal świecie firmą jak Zakłady Przemysłu Odzieżowego „Gracja"? Można było nieraz dosyć uszczypliwie zaśpiewać o kimś na scenie kabaretu i nic się nie działo, a mała jedynie aluzja na temat powiązania z „Gracją" wywoływała całą burzę i dziesiątki interwencji, nie mówąc o gniewie i obrażaniu się. Tak było na przykład w czasie premiery jednej z czartowskich szopek, kiedy Edwin Petrykat, kreujący postać jednego z urzędujących wicewojewodów, zaśpiewał trzymając w rękach dziecinne futerko:

Ja z gracją na palcach w „Gracji"
wiodłem walca i z racji tej „Gracji"
mam moc komplikacji...

Obecny na premierze wicewojewoda obraził się wtedy śmiertelnie na cały zespół i demonstracyjnie wyszedł po spektaklu, chociaż usiłowano zatrzymać go na tradycyjną lampkę wina, którą zamiast fajki pokoju zwykło się wypijać z krytykowanymi. Zagniewany obiecał, że nigdy jego noga nie stanie w kabarecie i przyrzeczenia dotrzymał, chociaż całe miasto wiedziało, że karierę zawodową zaczynał właśnie w „Gracji"...

Znana w swoim czasie działaczka związkowa z ulicy Królewskiej omal nie spowodowała zdjęcia z afisza programu kabaretu „Jeż" w którym tak o niej śpiewano:

Nie ma to, jak damą być, damą być,
damą być i służbowe toalety w „Gracji" sobie szyć...

Wprawdzie owa działaczka nigdy nie przestąpiła progu kabaretu, uważając to za uwłaczenie godności działacza związkowego, ale ostro ruszyła do szturmu. Aby zdobyć tzw. corpus delicti, wysłała na program „Jeża" swoją pracownicę z magnetofonem. Oczywiście tekst został nagrany bez trudu, a potem przedstawiony komu trzeba w budynku przy Alejach Racławickich, aby ten spowodował ukaranie nicponi podrywających autorytet działaczki związkowej. Wysoka osobistość wysłuchała nagrania i nie znalazła podstaw do ingerencji. Wręcz przeciwnie, piosenka nawet się spodobała i po wyjściu zainteresowanej, owa osobistość miała powiedzieć do jednego ze współpracowników:

— Wiecie, z tymi kieckami z „Gracji", to coś musi być, bo inaczej by tak z tym magnetofonem nie latała...

Kazimierz Pawełek

Hiszpania, sport i filozofia

Krzysztof Wieczorek

HISZPANIA — kraj daleki i egzotyczny, który Grekom z epoki Homera wydawał się końcem świata. Kraj szalonych namiętności, ojczyzna wielkich, legendarnych postaci, owładniętych przedziwnymi i niepojętymi pasjami: złowrogiego *padre* Torquemady, Wielkiego Inkwizytora Obojga Królestw; zuchwałego żeglarza Cristobala Colona, zdobywcy Indii Zachodnich; tajemniczego marzyciela i fantasty, żołnierza i trubadura — Cyrano de Bergeraca; surowego mnicha Ignacego Loyoli, niepojętego i niedoścignionego Pabla Picassa, wreszcie — wymyślonych, lecz jakże głęboko hiszpańskich *hidalgo y muchacho* z powieści Cervantesa — szlachetnego błędnego rycerza don Quijote'a z La Manchy i jego wiernego giermka Sancho Pansy.

Taka (czasem nieco obszerniejsza) galeria „galerników wrażliwości", *corrida de toros*, bez której Hiszpania nie byłaby Hiszpanią, Somosierra i Saragossa, Mickiewiczowskie „bronią się jeszcze twierdze Grenady..." Hemingway i gen. Świerczewski — oto mniej więcej cała nasza wiedza o tym kraju. Dziś, kiedy uwagę całego świata przez kilkanaście dni przykuwała magiczna kula piłki toczącej się po murawie hiszpańskich boisk, nadarza się okazja, by pomówić trochę o... filozofii. Dlaczego akurat o niej? Co ma wspólnego Mundial-Espana-82 z filozofią? Odpowiemy tajemniczym szeptem, jak Kubuś Puchatek przykładający łapę do pyszczka: m a.

Mało kto z *estrangeros* zdaje sobie sprawę, że Hiszpania jest również ojczyzną filozofów, i to nie byle jakich. Aby zachować rozsądny umiar, wymieńmy tylko pochodzących z jednego miasta w północnej Andaluzji — Cordoby: miasto to dało światu Senekę i Lukiana, Awerroesa i Mojżesza Maimonidesa. Ale to było dawno i nie całkiem na temat. Aby wrócić do związku między Hiszpanią, sportem i filozofią, przenieśmy się w bliższe nam czasy i w inne miejsce. Lat temu 99 z okładem u podnóża gór Sierra de Guadarrama, w królewskim mieście Madrycie urodził się chłopiec, nazwany później *gloria de nueva Espana*. Nazywał się José Ortega y Gasset. Po latach „The Atlantic Monthly" napisze o nim: „czym Rousseau był dla XVIII stulecia, a Karol Marks dla XIX, tym dla XX wieku stał się *senor* Ortega". Czym zasłużył sobie filozof z Madrytu na tak zaszczytne porównanie, nie sposób tu wymieniać. Odnotujmy jedynie fakt, że od 1916 do 1934 r. założone przezeń wydawnictwo „Revista de Occidente" opublikowało 8-tomową serię zawierającą 62 eseje *senora* Ortegi pod wspólnym tytułem „El Espectador" (tytuł ten w swobodnym przekładzie można oddać słowem „Kibic"). W przedostatnim tomie „Kibica" znajdujemy szkic zatytułowany „El origen deportivo del Estado", czyli „O sportowym pochodzeniu państwa". Oto więc wyjaśnienie Puchatkowej zagadki. Co prawda we wspomnianym szkicu autor poświęca piłce nożnej zaledwie jedno zdanie; jednakże szereg myśli tam zawartych godnych jest przypomnienia właśnie w naszym kraju i właśnie teraz, kiedy biało-czerwoni chłopcy stoczyli na hiszpańskiej trawie walkę o coś więcej przecież niż punkty, bramki i medale.

„Smutne życie, które pozwala godzinom upływać w znużeniu; godzinom, które powinny lśnić jak polerowane srebro. Smutny los Hiszpana żyjącego w epoce hiszpańskiej indolencji i wspominającego niby pełne siły i gracji popisy czystej krwi rumaków — lepsze czasy swojej Ojczyzny". Ten melancholijny ton przewija się gdzieniegdzie na stronicach eseju, pisanego parę zaledwie lat przed krwawą wojną domową, w sytuacji politycznego impasu; Ortega przez całe życie myślał i czuł kategoriami swego kraju, służąc jednocześnie „dwóm panom: prawdzie i narodowi" (jak napisał o nim Stanisław Cichowicz). Przeważa jednak nuta nadziei, głęboka wiara w „zmartwychwstanie hiszpańskiego wigoru, drzemiącego w sędziwej ojczystej ziemi". Nie jest to wiara bezpodstawna, ucieczka od zniechęcającej rzeczywistości. Przeciwnie: to przekonanie zbudowane na solidnym fundamencie głębokiej refleksji nad naturą człowieka, społeczeństwa, państwa. Zrekonstruujmy ten fundament — może i nam się na coś przyda?

Historia każdej żywej istoty uczy, że życie najpierw jest swobodną i marnotrawną inwencją, a potem selekcją spośród tak stworzonych możliwości. Zgodnie z tą ideą, wszystkie utylitarne działania skierowane na adaptację, inspirowane bezpośrednimi potrzebami, muszą być rozpatrywane jako wtórne funkcje życiowe, podczas gdy pierwotną aktywnością życiową jest zawsze spontaniczna, wylewna, swobodna ekspansja drzemiącej wewnątrz energii. Powodzenie w życiu zależy od amplitudy możliwości. Życie zatriumfowało na naszej planecie dlatego, że zamiast czepiać się konieczności, zalało ją powodzią możliwości, tak że niepowodzenie jednej może służyć jako pomost do zwycięstwa następnej. Jeśli zjawisko życia podzielimy na dwie wielkie klasy aktywności: jedną podstawową, twórczą, witalną *par excellence* — to jest spontaniczną i bezinteresowną, a drugą o charakterze utylitarnym, w której pierwsza jest mechanicznie wykorzystywana, to klasyczny przypadek aktywności drugiego rodzaju znajdujemy w tym, co nazywa się pracą, podczas gdy wysiłek *ex abundantia cordis* (z obfitości serca) znajduje najpełniejszą manifestację w sporcie.

Życie każdej ludzkiej jednostki da się podzielić na cztery etapy aktywności: dzieciństwo, młodość, dojrzałość, starość. Nie są one sobie równoważne. Człowiek, jak wszystko co ziemskie, rozpięty jest w swym istnieniu między dwoma krańcowymi stanami: pełni i doskonałości oraz ruiny. Byt w pełni swej doskonałości jest — można powiedzieć językiem sportowców — „byciem w formie"; a ponieważ wszystko, co istnieje, powinno być poznawane i definiowane w tej postaci, jaką przybiera, kiedy znajduje się „w formie", ważne jest pytanie — kiedy w życiu człowieka przypada okres „szczytowej formy"?

Odpowiedź chyba nikogo nie zaskoczy: okresem tym jest młodość. A z człowiekiem młodym dzieją się ciekawe rzeczy. Jednym z objawów wyjścia z dzieciństwa jest przełamanie infantylnej samotności i chęć do życia razem z rówieśnikami. Tę tendencję charakterystyczną dla wieku młodzieńczego można nazwać „instynktem rówieśnictwa". Osobowość młodego człowieka kształtuje się w grupie rówieśniczej, złączonej solidarnością jak drużyna piłkarska. Jednocześnie młodość jest skora do ryzykownych przedsięwzięć. Ktoś obdarzony bujniejszą od innych fantazją, a jednocześnie autorytetem, może zaproponować wielką przygodę. Wówczas grupa rówieśnicza staje się zbiorowym podmiotem działania: w sprzyjających okolicznościach może stać się nawet podmiotem dziejowej zmiany.

Wyobraźmy sobie przez chwilę pierwotną puszczę, w której egzystuje obok siebie kilka hord (najprymitywniejsza, przedplemienna forma organizacji społeczności ludzkiej). I oto kilku młodych chłopców, powodowanych „instynktem rówieśnictwa", postanawia żyć razem. Któryś z nich proponuje wielką przygodę: porwanie dziewcząt z jednej z sąsiednich hord. Tu następuje jeden z najbardziej zadziwiających momentów w historii ludzkości: w służbie miłości rodzi się wojna. Tu tkwią korzenie homeryckiego mitu o Helenie. Ten fakt ma gigantyczne konsekwencje: jest źródłem, z którego rodzi się władza, prawo i struktura społeczna. I nie tylko one. Życie we wspólnocie nasuwa myśl wzniesienia trwałej i przestronnej budowli.

Tak więc pierwszy dom zbudowany przez człowieka nie jest domem rodzinnym (rodzina jeszcze nie istnieje), lecz... klubem młodzieżowym. Czy nam się to podoba, czy nie, drużyna jest starsza niż rodzina, klub — niż ognisko domowe. W nim młodzi ludzie przygotowują swe wyprawy — więc ćwiczą się w sprawności cielesnej, będąc tym samym pierwszymi ascetami (Bo pamiętajmy, że literalny sens greckiego słowa *ascesis* to nic innego, jak „trening"). W tym pra-klubie tkwią też korzenie instytucji klasztoru — bo wspólnota młodych mężczyzn, zabiegających o przychylność ciemnych sił przyrody dla swych przedsięwzięć, stopniowo wytwarza system obrzędów o charakterze religijnym. Nie mówmy już o innych formach organizacji społecznej, które biorą swój początek w młodzieżowym klubie. Wszakże po scaleniu ich wszystkich w jeden zintegrowany organizm powstaje struktura, która coś nam przypomina: państwo.

W tym ogromnym skrócie myślowym nie ma miejsca na przytaczanie argumentów i wywodów, które łączą hipotetyczną prehistoryczną wspólnotę młodych z współczesnymi formami organizacji społecznej. To, co w przemyśleniach Ortegi wysuwa się zdecydowanie na plan pierwszy, to chęć przypomnienia i wyeksponowania funkcji, jaką w powstaniu i ewolucji państwa pełni czynnik owej „spontanicznej i marnotrawnej inwencji", nadwyżki energii witalnej, która cechuje istotę ludzką, zwłaszcza w jej „szczytowej formie". Państwo nigdy nie było prostą reakcją na jednoznacznie adresowane potrzeby obiektywne. W każdą formę organizacji państwowej genetycznie wkomponowany jest pewien margines rezerw energetycznych, umożliwiający skierowanie dynamicznej energii życiowej w jednym z wielu możliwych kierunków. Pod niejednym względem państwo przypomina drużynę sportową. Rzecz w tym, by drużyna nie rozgrywała meczu sama z sobą. Nie braknie w dzisiejszym świecie przeciwników godnych szlachetnej, sportowej rywalizacji. Ale by stając do walki, mieć jakieś szanse, trzeba, by solidarność, która nas łączy, była taka, jak w dobranej grupie rówieśniczej, taka, jak w drużynie piłkarskiej, zgodnym wysiłkiem zdobywającej gole i punkty. Nikt jeszcze nie wygrał, wrzucając piłkę do własnej bramki.

Refleksje o piłce nożnej

Henryk Borowski

GRY i widowiska sportowe to nie tylko popisy zręczności i siły, to takie imprezy odzwierciedlające określoną rzeczywistość społeczną i indywidualną ludzi danej epoki, prezentujące określone idee i wartości. Rzecz ma się podobnie jak w imprezach literackich i artystycznych, w widowiskach cyrkowych, teatralnych itp. I tak było zawsze: weźmy np. grę w szachy; powstała w starożytnej Persji i rozwinęła się na dworach feudalnych książąt i władców. Z epoki tej pochodzi również jej interesujące nazewnictwo. Najważniejszą figurą jest oczywiście król, niżej w hierarchi usytuowana jest królowa, a potem wieża, laufer i koń. Najliczniejsze figury to najniżej usytuowane w hierarchi ważności pionki. Podobna sytuacja występuje w grze w karty, gdzie na szczycie występuje as, potem król, dama, walet, dziesiątka, dziewiątka itd. (te ostatnie figury to oczywiście plebs).

Najbardziej zbliżony do widowisk sportowych jest jednak wywodzący się z tamtych czasów cyrk, sztuka demonstrowania nadludzkich możliwości człowieka: zarówno w dziedzinie zręczności i siły, jak i też, co wyraża się np. w pokazach oswajania i ujarzmiania dzikich zwierząt, w dziedzinie panowania człowieka nad przyrodą.

Zawody sportowe miały też wiele cech wspólnych i powiązań z praktyczną działalnością człowieka. Przede wszystkim z polowaniem, ale także z wykonywaniem najrozmaitszych czynności o charakterze zawodowym. Miały też powiązania ze sztuką wojenną, jak np. średniowieczne turnieje rycerskie.

W naszych czasach pojawiło się wiele nowych dyscyplin i widowisk sportowych. Dają one wyraz nowym tendencjom i przemianom dokonującym się we współczesnym świecie. Do tych dyscyplin należą np. sporty motorowe. Ale i te inne wyrażają owe tendencje i przemiany dokonujące się w różnych dziedzinach życia. Należy do nich również piłka nożna.

Jest to gra zespołowa, w której nie występuje król, królowa, pionek, walet: wszyscy są równi, bo nawet bramkarza nie można uważać za szczególnie wyróżnionego w tej grze. Sam nie jest w stanie obronić bramki, i właściwie atut z grających nie jest w stanie niczego osiągnąć tu samodzielnie. Kapitan drużyny biega po boisku jak wszyscy inni i wcale nie na niego kierują się kamery i obiektywy.

A więc — jak powiedziałem — jest to gra zespołowa i demokratyczna, gra równych z równymi. Istotę jej stanowi — jak wszelkich gier i zawodów — rywalizacja. Ale rywalizacja jest też istotą współżycia we współczesnym świecie. Przy czym chodzi tu o rywalizację podmiotów równouprawnionych. Temu równouprawnieniu daje wyraz również gra w piłkę nożną. Wygrywa w zasadzie siła i zręczność, ale nie tylko. Czasem odgrywa rolę pomysł i namysł, czasem współpraca i współdziałanie, a niekiedy po prostu przypadek. A więc tak jak w zawodach i rywalizacjach dotyczących osiągania różnych korzyści materialnych, stanowisk itp.

Ale gra w piłkę nożną obwarowana jest przepisami dotyczącymi przestrzegania zasad owej gry. Nie można tu pozwolić sobie na dowolność. Z tego też względu nie mogłaby się rozwinąć w społeczeństwach pierwotnych, w społeczeństwach nie przyzwyczajonych do owych ograniczeń. I z tego też powodu nie byłaby akceptowana tj. rozumiana przez ogół nieprzyzwyczajonych do tych ograniczeń kibiców. Tylko kibic z wielkiego miasta rozumie te wszystkie zawiłości regulaminu, który przypomina mu to, co się dzieje wokół niego na ulicy i w miejscu pracy te wszystkie ograniczające jego swobodę zasady, i znajduje w regulaminie tym — jak również w jego praktycznym zastosowaniu na stadionie — metaforę życia społecznego pozwalającą mu przeżywać widowisko piłki nożnej w aurze odprężenia i zabawy.

Metafora owa pozwala mu przeżywać zresztą nie tylko sparodiowaną rzeczywistość, ale i pewne, właściwe jej, elementy racjonalne. Mimo wszelkich zawodów, pułapek, driblingów gra według zasad musi się opłacać. Troszczą się o to, jak wiadomo, nie tylko sędziowie piłki nożnej, ale i prokuratorzy czy sędziowie sądów powszechnych, przy czym ci ostatni oczywiście mając na uwadze współzawodnictwo ludzi w dążeniu do osiągnięcia różnych karier i sukcesów.

Czy warto dążyć do wyróżnienia się wśród innych za wszelką cenę, tj. zrać w pojedynkę, czy też raczej w ścisłym powiązaniu i współpracy z innymi? Okazuje się, że w grze takiej jak piłka nożna sukces nie tylko drużynowy, ale i indywidualny, osiąga raczej ten, kto gra we współdziałaniu i współpracy z innymi. Uczy więc piłka nożna pokory i przestrzegania właściwych jej reguł postępowania. Sukces indywidualny przeplata się tu ściśle z sukcesem zbiorowym i nie jest ważne tylko to, kto strzelił, ale także z czyjego podania. A wszystko odbywa się na oczach zgromadzonej publiczności, która jest zbiorowym sędzią nie tylko ostatecznego sukcesu, ale i sposobu gry, zachowania się poszczególnych zawodników i decyzji głównego arbitra. Na boisku nie może być pobłażania, intryg, manipulacji, wszystko musi się zgadzać, wszystko musi być pokazane i wiarygodne, aczkolwiek nie ma reguły bez wyjątków (mecz RFN-Austria). W każdym kibicu tkwi dążenie do ferowania ocen, wyroków; na stadionie każdy może być sędzią. Toteż widowiska sportowe rozładowują energię i pasje, które mogłyby wyładować się poza stadionem, sprzyjają krytycznemu i bezinteresownemu obiektywizmowi w ferowaniu ocen, wdrażają przestrzeganie obowiązujących reguł gry, także wszelkiej innej gry i reguł współzawodnictwa.

To prawda, że czasem wyładowują się tendencje szowinistyczne i nacjonalistyczne, ale może właśnie dobrze, że wyładowują się one na stadionach, a nie na granicach sąsiadujących ze sobą narodów. Ogólna tendencja współczesnego sportu jest jednak pozytywna. Jest to tendencja do przejawiania się w coraz większym zakresie postaw o charakterze internacjonalistycznym. I w tym tkwi pewna nadzieja naszego świata.

Pod parasolem

Andrzej Twerdochlib

OJCIEC Krzysztofa był przystojnym mężczyzną po pięćdziesiątce. Miał na sobie letni garnitur koszulę w dyskretny wzorek i gładki krawat. W swoich dżinsach i kraciastej koszuli Krzysztof wyglądał przy nim jak łapserdak. Jedli kolację. Wanda przyniosła akurat z kuchni gorący bigos. Usiadła przy stole.

— Jaka pogoda w Berlinie? — zapytała.

— Padało — powiedział ojciec Krzysztofa. Podsunął Wandzie wazę z bigosem. — A tu?

— Słońce przez cały dzień.

Przez chwilę jedli w milczeniu. Siedzieli w jadalni przy solidnym przedwojennym stole, inne meble też były solidne i przedwojenne. We wnęce kredensu stał telefon połączony równolegle z tamtym w holu. Telefon zadzwonił.

— Odbierz — powiedział pan Rawicki zmęczonym głosem. — Mnie nie ma.

Krzysztof wstał, podniósł słuchawkę.

— Tak... Nie, nie ma... No, pan dyrektor wrócili, ale wyszli... Pojęcia zgoła nie mamy... Ściśle powtórzymy... Tak wzajemnie.

Wrócił do stołu. Ojciec jakby nie dostrzegł jego wygłupów. Wanda natomiast patrzyła wilkiem.

— Twoja sekretarka — poinformował Krzysztof ojca. — Przypomina, że jutro o dziesiątej masz jakichś Szwedów.

— Wiem przecież — powiedział z westchnieniem pan Rawicki — Ona ma mnie za idiotę.

— Jeszcze mówiła, że coś się gdzieś spaliło.

Ojciec okazał lekkie zainteresowanie.

— Mówiła co?

— Tak, ale telefon akurat zaczął przerywać.

— Jutro się dowiem — powiedział pan Rawicki z nie udawaną obojętnością. Skończyli bigos. Wanda zebrała talerze i wyszła do kuchni. Wróciła z herbatą.

— Zwolniłem się z pracy — powiedział Krzysztof. Ojciec uprzejmie podał Wandzie cukiernicę, posłodziła.

— Nic nie wspominałeś.

— A bo to takie ważne? — wzruszył ramionami Krzysztof.

Ojciec nic nie powiedział. Uznał, że sprawa rzeczywiście jest błaha. Nagle coś sobie skojarzył.

— Prawda! — powiedział. — Przecież jedziecie z Hanką do Włoch. Nie chcieli ci dać urlopu?

Krzysztof manifestacyjnie posmutniał. Westchnął nawet i żałośliwie pociągnął nosem.

— Nie o to chodzi. Zresztą Hanka puściła mnie kantem. Znalazła sobie hokeistę. Jedzie z nim.

— Hokeistę? Teraz, w lecie?

— Tylko w lecie — powiedział Krzysztof. — Zimą oni są bardzo zajęci, wiesz...

— Więc nie jedziesz... Hm, przykre.

— No właśnie. Może byś coś wymyślił. Coś na długo. I możliwie daleko.

— Dlaczego?

— Jakby tu powiedzieć... Powodów jest cała masa. O! Przecież widzę, że wam przeszkadzam. Pani Wandzie. Tobie też.

— Wcale mi nie przeszkadzasz — oświadczył pan Rawicki. Krzysztof zrobił minę na temat: mów sobie mów... Ja swoje wiem.

— Co pan znowu knuje? — zapytała Wanda. Krzysztof skromnie spuścił oczy. Był smutny.

— Nic nie mówcie. Nie udawajcie. Ja rozumiem...

— Co rozumiesz, do ciężkiej choleryi? — pan Rawicki wyzbył się nagle swoich wytwornych manier. — Czego się wygłupiasz?! Gadaj!

— No widzisz! — powiedział Krzysztof. Ciągle był smutny. — Złościsz się, podnosisz głos. Jak ty masz mnie dosyć... Pani Wando, niech pani też krzyknie.

Ojciec przyglądał się Krzysztofowi badawczo.

— Do Libii chcesz?

Krzysztof przez chwilę rozważał propozycję, potem lekko się skrzywił.

— Obyczaje za surowe.

— Afryka Zachodnia?

— Hm... A konkretnie? Do jakiego państwa?

— Nie bądź drobiazgowy. Tam się co dwa tygodnie mapa zmienia. Zachodnia Afryka i tyle. Nad takim dużym morzem, wiesz?

— Atlantyk się nazywa?

— Coś właśnie takiego.

Wanda patrzyła na nich ze zgrozą, a oni obaj dobrze się bawili jej kosztem, nie pierwszy zresztą raz. Krzysztof odmownie pokręcił głową.

— Nie chcę do Afryki — powiedział.

— Przykro na was patrzeć — Wanda nie wytrzymała dłużej. — Chłop ma dwadzieścia pięć lat, a wszystko i zawsze musi mu załatwiać ojciec. Do czego to podobne?

— No wiesz! — oburzył się pan Rawicki. — Jaką ja mu robię krzywdę?

— Jeszcze się przekonasz.

Krzysztof postanowił bronić się sam.

— Pani Wando, ja muszę coś pani wytłumaczyć — powiedział. — Ojciec ma pochodzenie robotnicze, a jest dyrektorem departamentu. Ja mam pochodzenie dyrektorskie i jestem robotnikiem. Ojcu to pomaga w awansach, bo jestem dobrym robotnikiem. Poświęcam się, bo u nas wcale niełatwo być dobrym robotnikiem, ale przecież coś z tego muszę mieć.

— Zamknij dziób! — zdenerwował się znowu pan Rawicki, który nie lubił, kiedy Krzysztof pokpiwał z Wandy zbyt otwarcie. — A ty — zwrócił się do Wandy — bądź łaskawa nie bawić się w mamusię. Nie pali, nie pije, dziewuch do domu za często nie sprowadza. Płaci za utrzymanie i zarabia więcej niż ty w tej swojej gazetce.

— Jak możesz! — powiedział Krzysztof. — Gazetka! Przecież to całkiem poważne kobiece pismo. Może pani chce zrobić wywiad z wzorowym przedstawicielem mojej klasy?

— Dziękuję — powiedziała wyniośle Wanda. Ze-

Poezja jugosłowiańska

W przekładzie Aleksandra K. Nejmana i Zygmunta Wójcika

Prezentujemy wiersze poetów jugosłowiańskich w przekładzie Aleksandra K. Nejmana i Zygmunta Wójcika. Autorzy jugosłowiańscy są dość młodzi i z bliskich sobie roczników, np. Petre Bakevski urodził się w roku 1947, a Milovan Stefanovski w 1952. Taka tylko rozpiętość wiekowa. Ten najmłodszy uzyskał nagrodę „Braci Miladinovicióv", Sande Stojczevski — im. Koczo Racina, a Liupczo Siljanovski — pisma „Studetski zbor". Wszyscy drukowani tu poeci posiadają przynajmniej po jednym, a najczęściej po dwa i trzy tomiki swoich poezji.

Milovan Stefanovski

ŁOPUSZNIK *)

Kocze Racinovi poświęcam

Od każdej gwiazdy słyszy się głos
Niby cudne echo od twoich pieśni
w Nocy za zachodzie gór

Myśl jest w niewoli słońca
i czerwono rysuje obraz zmieszanego narodu
Obok cichej wody z najpiękniejszego źródła
Ponad Łopusznik wznosi się pieśń

Gdy słowa budują fundamenty
Muszą być dzieci aby otworzyły
Szerokie okna w stronę czystego nieba

Na koniec gdy zatrzymamy się wysoko
Jednym ciągiem wysłuchać chcę
Końca pieśni którą zaczął

Na Łopuszniku jest grób w kwiatach.

*) Łopusznik — nazwa wsi w Zach. Macedonii, gdzie zginął w walce z okupantem Kocze Racin, poeta i partyzant.

Vlado Szopow

SUMBEDIUM

Gdybym tylko mógł jeszcze raz z Fatu
Aby słyszeć cichy gniew na falach
Sumbedium
Zły zapach padłych zwierząt upaja
Susza dźwięczy w uszach
Drzewo które płonie szepce mi o deszczu

Gdybym tylko mógł jeszcze raz z Fatu.

Krste Czaczanski

W GÓRACH GDZIE ŻYJEMY

W górach gdzie żyjemy
wszystko jest na nogach
Moi opuszczają słońce jak trumnę
we dwóch
wypowiadają jego stare i moje praimię
zmieniające się w świetlnych latach
od ciągłych wichrów
od bezpamięci kochania
Toczy się dotąd nieopanowana woda
przeciska przez kolczaste krzaki
przez cienie
przeze mnie niby otwarty pejzaż
schodzę w dół
W zachodzących górach gdzie żyjemy
wszystko jest na nogach
pod zachód słońca w miejsce gwiazdy
wyciągają człowieka z rzeki.

Liupczo Siljanovski

MIŁOŚĆ I MISTRZOWIE

Mistrzowie ją wznoszą
Między dwoma uderzeniami serca
Między dwiema przepaściami
buduje ją czas
Do siódmego nieba ją wznieśli
Zapomnieli o rzece
w dole
która cichą wodą
zrywa brzegi
Budowali, budowali, budowali
I to im tylko zostało.

Sande Stojczevski

PORĘKA

Wokół jednego święta ognisko
Obok promień jeden, wieczny, uroczysty
Zbieram po trosze twoje ostatnie słowa.
Spoglądałem: ziarnista panika spadała
na ramiona poprzez znaczenia
jakby wieśniacy z ryżu odsiewali plewy.

Zordże Barbarovski

INSPIRACJA

Kiedy cię będę samotnie czekał
wyścielisz mi wskroś żyły
rozepniesz się na dziewięciu strunach
szlifujesz ćwieka szpady
na mojej bło e
Wtedy z twojej Nieskąpości
spadają gładko kamienie
na moją wieżę pożądania.

brała ze stołu resztę zastawy i poszła do kuchni zmywać. Obaj panowie Rawiccy patrzyli na siebie.

— No... — powiedział ojciec — Gadaj wreszcie.

— O czym? — udawał naiwnego Krzysztof. Ojciec zaczynał się już niecierpliwić.

— Gadaj, co sobie wymyśliłeś.

— Gazociąg orenburski — powiedział już rzeczowo Krzysztof. — masz coś z tym wspólnego?

— Mam. Skąd ci to do głowy przyszło?

— Dowiedziałem się, że tam jest Krystyna — powiedział Krzysztof. Wyraz twarzy ojca świadczył, że nie bardzo wie, kto to jest Krystyna. Krzysztof mówił dalej.

— Chodziliśmy ze sobą przez dwa lata. Ona śpiewała, wiesz? Uciekła mi rok temu... — Nagle o czymś sobie przypomniał. — O, widzisz! Kiedy ci ją przedstawiałem, obejrzałeś ją dokładnie i powiedziałeś: jaka ładna panienka! Pamiętasz? Ona rzeczywiście była ładna.

— Pamiętam — powiedział po sekundzie wahania pan Rawicki. — Uciekła ci, mówisz?

Krzysztof kiwnął głową.

— Dlaczego?

— Byłem zazdrosny o różnych facetów z gitarami i bez... Nie chciałem, żeby występowała.

— To głupie, nie?

— Głupie — zgodził się łatwo Krzysztof. — Ale stało się i uciekła.

— Wiesz gdzie?

— Przecież powiedziałem.

— Eeee... Najpierw uciekła do Paryża.

— Skąd wiesz?

— Przypadek. Zaszedłem na kolację do knajpy i ona tam śpiewała — powiedział niechętnie i jak gdyby z wewnętrznym oporem pan Rawicki. — W zeszłym roku. Ona miała pseudonim Krystyna Kramer czy coś takiego?

— Zgadza się. Dlaczego mi nie powiedziałeś?

— A skąd mogłem wiedzieć, że ci uciekła? — zdziwił się pan Rawicki. — Tak mi się często zwierzasz?

— Fakt. Ale chyba zacznę... Ten Paryż to nad taką rzeką? Sekwana czy jakoś tak?

— No właśnie.

— Załatwisz?

— Mogę. Jeżeli to dla ciebie takie ważne...

— Ważne — powiedział Krzysztof.

— Co ona może tam robić? — zastanawiał się na głos pan Rawicki — Przecież nie śpiewa. Będę musiał z tym zrobić porządek.

— Może pozwolisz, że ja zrobię?

Ojciec i syn popatrzyli sobie w oczy z całkowitym zrozumieniem.

Krzysztof z rzadka tylko dopuszczał do siebie myśl, że bywa narwańcem, a kiedy już dopuścił, wzruszył ramionami i mówił: „no to co?" Obdarzał się też epitetami „kabotyn" i „megaloman", wtedy także kończyło się retorycznym pytaniem: „no to co?" Umiał się więc rozgrzeszać stosunkowo łatwo, zawsze jednak tylko do pewnych granic. Nie stwierdzał na przykład nigdy i do końca, że na to aby być narwańcem, kabotynem i megalomanem, jest trochę za młody, nie mówiąc już o tym, że nie ma na dobrą sprawę powodów, żeby tym wszystkim być. Nigdy też nie podejrzewał siebie, że jest w miarę zwyczajnym i trochę przemądrzałym szczeniakiem. W jego wieku brak takich podejrzeń jest nawet czymś normalnym i byłoby błędem podejrzewania owe dopuszczać.

Z Wandą i ojcem też się dziś zbytnio nie popisał. Jedyną osobą, której się tego dnia upiekło, była gosposia, bo miała wychodne. Właśnie sprawa z ojcem. Od dziesięciu lat, czyli od śmierci matki, było bardzo niewiele sytuacji, kiedy nie potrafili się porozumieć. Byli właściwie na stopie koleżeńskiej i obaj nie widzieli w tym nic niewłaściwego. Wanda czasami widziała, ale pan Rawicki był w tej materii bezwzględny i wszelkie próby ingerencji drugiej żony ucinał kategorycznie i w sposób zdecydowany. Ojciec po prostu znał swoją wartość i dowodzenie tej wartości Krzysztofowi uważał za całkowicie zbędne. Krzysztof zresztą tego po ojcu nie oczekiwał.

Oczywiście Krzysztof nie miał żadnych wyrzutów sumienia, że nie wynosi się z willi, która wpadła ojcu psim swędem po śmierci żony. Było tu dość miejsca i nikomu nie przeszkadzał. Gdyby nawet palił, pił i sprowadzał dziewczyny (czasem zresztą sprowadzał), nikt nie mógłby mu mieć tego za złe. Był dorosły, zarabiał na siebie i niczego od ojca nie brał. Tym bardziej od Wandy. Był zresztą głęboko przekonany, że bez ojca, a mówiąc ściślej: bez jego eksponowanego stanowiska, radziłby sobie równie dobrze jak z ojcem i jego eksponowanym stanowiskiem. Nie zastanawiał się zresztą nad tym zbyt głęboko, co wynikało z zasady, że pewnych myśli i refleksji nie dopuszczał do siebie na zbyt bliską odległość.

Mógłby powiedzieć wprost: poślij mnie możliwie szybko na ten orenburski gazociąg (dla ciebie to pestka), bo tam jest Krystyna, a ja chcę do niej. Ojciec pewnie by nawet nie zapytał: dlaczego chcesz do niej? Co najwyżej powiedziałby, że to istotnie dla niego pestka. Zamiast prostej szczerości Krzysztof owinął sprawę w bawełnę, gadał aluzjami i nadużywał ironii. No to co? W gruncie rzeczy wyszło na jedno i pojedzie, gdzie chce. A ojciec będzie go traktował dokładnie tak samo jak dotąd.

Fragment powieści, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Morskiego.

Petre Bakevski

W ZIEMI ZAKOCHANY

Wszystko będzie — gdy się umrze, gdy się będzie kochać
We wszystkich wiekach, na drogach — odnajduj się zgubo
Będzie się ryć, będzie się bić, w oko złapiemy martwą nić
Te same bóle, w tej samej głowie samotna myśl, o ziemio luba
Pójdzie się kłamać, będzie się grać, w obłok się skryję,
Korzenie, witki, lasy, wszystko jakże wrze
Dusza, serca, westchnienie — ziemio, jak płonę od miłości,
Obłoki, grzmoty, zawroty głowy, — wydzierżawię, może we śnie.

Żordże Barbarovski

NOCNE OKO

Oko nocy
moja miła
w którym źle kobiecie.
Biegniesz po kryjomu
z łóżka
do stołu
i z powrotem
i tylko wtedy
strudzeni mężczyźni
mogą wam przebaczać

Oko nocy
może przetoczyć
tajemniczą siłę
a ja tak robię
aby dookoła, dookoła
i znów ci wybaczam

Oko nocy
ma ciężkie rzęsy
i tylko słońce
z rana
odszuka
nasz zamek
moja mała.

Rade Siljan

MAJSTROWIE

Między trzema wsiami
i trzema pagórkami
dom mi budują
wymyślny
wysoki
nieosiągalny
z dwiema twarzami
dom śmierci

Pomiędzy trzema wsiami
i trzema pagórkami
dom mi budują
ze słonecznym pierścieniem
z barwami tęczy
dom śmierci

Pomiędzy trzema wsiami
i trzema górami
budują mi dom
bez zieleni lasu
bez numeru
z nieśpiewanych wspomnień
z lamentów
ze ślepymi oknami
dom śmierci.

Vlado Szopow

ŚMIERĆ BRZEGU JEZIORA

Jeślibyś kiedykolwiek wyszedł wysoko
i skoczył w dolinę
Niezmordowanie zbierał muszle i polne kwiaty
mowy dzieciństwa będą cię wodzić w stronę jeziora

Na brzegu jeziora tajemne zabójstwo

Jeziorne cumulusy zaspały na falach, kiedy
na martwym piasku w skrwawionej odzieży
konieczność żegna się z nimi
a rzeczywistość żegna cię z nią

Ta noc niepokoju przetopi się w wieczność
odwrócona od przyszłości i oderwana od przeszłości
Apokalipsa przeszłości stopiła się wokół jeziora.

Opowiadanie wakacyjne

Pere Calders i Rossinyol

W MAJESTACIE PRAWA

KAŻDY na ogół wie, jaką czcią Hindusi otaczają zwierzęta. Większość z nas nie ma natomiast pojęcia, że jest to rzeczywiste uwielbienie, a przede wszystkim — uwielbienie zupełne.

Oczywiście nie wiedziałem nic o tym i ja. Podróżując po raz pierwszy do Benares, sądziłem, że te rzeczy nie mają już miejsca, że w istocie nigdy się nie zdarzały.

Nazajutrz po przyjeździe wyszedłem z hotelu, zamierzając pospacerować. Moim pierwszym odkryciem w obcym kraju, pierwszą — powiedziałbym — niespodzianką, było napotkanie krowy. Szła samopas ulicą, najwyraźniej bez właściciela, czy poganiacza. W odruchu Europejczyka udałem się na poszukiwanie policjanta.

— Proszę pana, tam dalej jest jakaś zabłąkana krowa — rzekłem. — Jeśli jej nie złapiecie, może zakłócić porządek publiczny...

— Oby ta krowa raczyła się zaopiekować mną i panem, cudzoziemcze. Nie dość czyste są moje ręce, bym wymuszał jej wolę. Musi pan zejść z drogi i nie prześladować zwierzęcia — oznajmił policjant.

Wypadało ustąpić. Wkrótce się przekonałem, że po każdej ulicy łaziły te bydlęta — panowie bykowie i panie krowy, a przechodnie traktowali je z uniżoną uprzejmością.

Poznawanie świata powoduje, że nabieramy umiejętności przystosowania się do sytuacji. Pod koniec tygodnia umiałem okazywać krowom więcej uprzejmości niż niejeden dobrze wychowany Hindus.

Tymczasem zakochałem się w młodej Argielce. Jako dżentelmen, który zna upodobania dam, postanowiłem ją odwiedzić z bukietem róż doprawdy wspaniałym.

W oczekiwaniu na taksówkę stałem na ulicy, przytrzymując kwiaty obu rękami. Przypadek zrządził, że spostrzegła to krowa — patrzyła na mnie z wyraźną sympatią. A potem z chytrą miną bestia owa ruszyła w stronę miejsca, gdzie się znajdowałem, a przybywszy obwąchiwała mnie przez długi czas bez najmniejszego pośpiechu. Następnie wyciągnęła zachłannie mordę i pożarła dwie róże z bukietu.

Było to irytujące! Zapomniałem o wszelkich konwenansach, położyłem rozwartą dłoń na jej nosie (albo raczej na tym, co krowy posiadają w charakterze nosa) i zacząłem odpychać bydlę do tyłu.

Krowa wiedziała, że cudzoziemcowi nie wolno się posuwać za daleko. Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek zaszło coś podobnego. W obronie swoich przywilejów wydała przeciągły, donośny ryk, słyszany w całej dzielnicy.

Ludzie zaczynali się gromadzić wokoło z oznakami wrogości. Po chwili nadszedł policjant, pytając o przyczynę zbiegowiska. Odparłem:

— Słuszność jest po mojej stronie. Nie mogłem inaczej postąpić. Stałem spokojnie, nikomu źle nie życzyłem, a wtedy przyszła ta krowa, żeby zjeść mój bukiet. Krowę szanuję, a kłótni z nią nigdy bym nie wszczął. Ale bukiet jest przecież mój, nabyty legalnie i przeznaczony do innych celów.

Tłum aż zawył z oburzenia, a policjant przeraził się nie na żarty:

— Nikt w Indiach nie waży się odmówić krowie tego, co jej przyznaje prawo. Jeśli pański bukiet przypadł zwierzęciu do gustu, jest pan obowiązany oddać go.

I zmuszono mnie, bym to uczynił. Zawróciłem do kwiaciarni. Tym razem wiedziałem już, co mam robić w obronie moich interesów. Zamówiłem dwa bukiety — jeden podobny do tego, który zżarła krowa, a drugi — tani, byle jaki. Kazałem pierwszy włożyć do pudełka i starannie opakować, a drugi trzymałem ostentacyjnie w ręku.

Łatwo pojąć moje zamiary: tania wiązanka miała posłużyć do zaspokojenia krowiej żarłoczności i odwrócenia uwagi zwierzęcia od paczki.

Przechodząc powtórnie w pobliżu miejsca, w którym się przydarzyło nieszczęście, zobaczyłem, że krowa jeszcze tam stała, wyciągając z wnętrza zwiniętego papieru pączki róży, które jej najbardziej smakowały. Uniósłszy łeb, bydlę zmierzyło mnie spojrzeniem pełnym zarozumiałości w przekonaniu, że może rozporządzać człowiekiem wedle własnej woli.

„Doczekasz ty się" — pomyślałem. Pewny mojej przewagi nad przebiegłością krowy, zbliżałem się do niej, idąc niby sługa ku wielmoży. A krowa z arogancją, która cechuje sprawujących władzę nieograniczoną, wąchała kwiaty, jakby się podśmiewając. Uległem jej życzeniu i grzecznie wyciągnąłem rękę z bukietem.

Policjant posyłał mi z oddali gest zachęty. A kiedy ów przedstawiciel władzy podszedł bliżej, by wyrazić podziękowanie w imieniu Indii, rzekłem tryumfalnie:

— Tym razem wygrana jest moja! Prawdziwy bukiet niosę w pudełku, a to co właśnie pożera krowa, to wiązanka za parę groszy!...

Tego tylko brakowało! Policjant uznał, że oszustwo było potworne. Zostałem zaaresztowany, a sędzia skazał mnie na trzy miesiące więzienia za „przygotowanie pułapki na świętą krowę"...

Z katalońskiego przełożył Jerzy Wieluński

Pere Calders i Rossinyol — urodzony w 1912 r. pisarz kataloński. Uznany za najbardziej orginalnego pisarza Katalonii. Jego twórczość przypomina niekiedy utwory Edgara E. Poe. Od 1939 do 1962 przebywał na emigracji w Meksyku. „Kronik" prawdy tajemnej" — pełne humoru, fantazji, niesamowitości są jedną z bardziej znanych na Zachodzie książek tego autora.

Rozmowa z prof. Bobrowskim

Dokończenie ze str. 1

...anicą Polska, który urodził się w Nowej Myszy, i musiałem opowiadać mu, jak ona dzisiaj wygląda. Kłopot polegał na tym, że w dorosłym życiu nigdy jej nie widziałem.

M.Z.: — Konrad Bielski napisał o panu w „Mości nad czasem" — „Dalsze losy Czesława Bobrowskiego, jego naukowej kariery, są dostatecznie znane. Nie jestem kompetentny do wydania sądu o jego dorobku i osiągnięciach, ale, być może ze względu na dawną przyjaźń i te wspomnienia, zawsze żałuję, że zaniechał literatury. Co by to był za świetny krytyk, z jego wiedzą, erudycją i precyzją. A miał jeszcze rzadko spotykaną zaletę: wytrawny smak i dobry gust".

CZ.B.: — Niedawno, po przeszło pięćdziesięciu latach, przeczytałem ponownie moje ówczesne teksty. I doszedłem do wniosku, że mnie nie kompromitują. Ale myślę, że lepiej się stało, iż zostałem ekonomistą.

M.Z.: — A jak doszło do tego, że z krytyka literackiego przedzierzgnął się pan w ekonomistę?

CZ.B.: — Moja miłość do literatury ostygła podczas studiów polonistycznych. Gdy poznałem rzemieślniczą stronę zawodu, uciekłem z UJ na wydział prawa i ekonomii Uniwersytetu Warszawskiego. Mimo, że ukończyłem ten wydział, nigdy nie byłem prawnikiem. Studia prawnicze były wtedy — a chyba niekiedy są i dzisiaj — „odroczeniem wyboru" dla maturzystów, którzy nie mogli zdecydować, jaki wybrać zawód. Czytałem podczas tych studiów bardzo dużo, bez żadnej selekcji, z wyjątkiem może selekcji negatywnej — nie czytałem w ogóle książek prawniczych. Te poszukiwania kierowały mnie z wolna w stronę zagadnień społecznych i ekonomicznych.

M.Z.: — Może jeszcze wróćmy do okresu lubelskiego...

CZ.B.: — Bardzo miło wspominam klimat tamtych dni. Niezwykłe ożywienie w Lublinie zaczęło się już podczas okupacji austriackiej. Przeżyłem kilka okupacji i z moich doświadczeń wynika, że najlepszymi okupantami są Włosi, ale Austriacy nie należą do najgorszych. Zwłaszcza, że gubernatorem był Szeptycki, a znaczna część kadry oficerskiej rekrutowała się z Polaków mieszkających w Galicji. Ta specyfika okupacji Lublina nie była oczywiście jedyną przyczyną aktywności miasta. W moim przekonaniu nie ma w ogóle zjawisk jednoprzyczynowych. Procentowała także działalność społeczna lubelskiej inteligencji. Dominowały tendencje niepodległościowe i światopogląd, który określiłem jako „otwartą postępowość", tj. rozumienie konieczności przeobrażeń społecznych przy równoczesnym poszukiwaniu wielu rozwiązań, nie zamykaniu się w obrębie jednej doktryny. Szczególnie aktywni byli: Biernacki, Papiewski, Hempel.

M.Z.: — No i pańska mama.

CZ.B.: — Tak, moja matka, która była lekarzem, należała do tej grupy. Znajomość środowiska ówczesnej lewicy, które poznałem dzięki mamie, miała chyba wpływ na pewne późniejsze epizody mojego życia. W kręgu tej grupy przebywał młody Bierut. W 1949 r. matka została odznaczona pośmiertnie przez Bieruta. Myślę, że był to wyraz jego szacunku dla całego środowiska o jakim przed chwilą mówiłem. Z młodością Bieruta wiąże się jedna charakterystyczna sprawa, na którą nie zwrócono uwagi. Przebywał on wtedy w środowisku entuzjastycznie odnoszącym się do tradycji romantycznej. I to w nim pozostało. Bierut reprezentował swoisty konglomerat ortodoksyjnego komunistycznego, powiedziałbym: komiternowskiego, myślenia z olbrzymim szacunkiem dla polskiej tradycji romantycznej. Szczególnie dla Słowackiego i Szopena. Wiele osób dziwiło się, dlaczego w latach czterdziestych i pięćdziesiątych radio tak często nadawało muzykę Szopena. Były to ilości trudne do strawienia nawet dla melomanów... Ale wróćmy do lat młodości. W klimacie „dojrzewania i wybuchu" Polski dorastaliśmy bardzo szybko. W sensie wieku społecznego byliśmy na pewno znacznie starsi niż nasi dzisiejsi rówieśnicy. Składały się na to zarówno przebieg wydarzeń: odzyskanie niepodległości, wojna 1920 r., w której brałem udział jako szesnastolatek, jak i specyfika szkoły tych lat, bardzo tolerancyjnej i wolnej od prymitywnych rygorów.

M.Z.: — W wojnie 1920 r. brał pan udział jako ochotnik?

CZ.B.: — We wszystkich swoich wojnach, a uczestniczyłem w trzech: w 1920, 1939 (dwa dni...) i we Francji w 1940, byłem ochotnikiem. W 1920 r. moim przełożonym był sierżant Jan Lesman, czyli Brzechwa, i temu zawdzięczam awans na starszego strzelca. Mimo udziału w trzech wojnach mam bardzo „cywilną" naturę i wolę mówić o czasach pokojowych. Mówiłem o tolerancji w szkole. Dotyczyło to chyba wszystkich lubelskich gimnazjów: Staszica, Zamojskiego i w największym stopniu — mojej Szkoły Lubelskiej. Zawdzięczać to należy wspaniałemu człowiekowi i pedagogowi, jakim był jej dyrektor Arlitewicz. W piśmie „Młodzież", które wydawaliśmy za czasów szkolnych, nie poskramialiśmy specjalnie naszych temperamentów, ani nie stosowaliśmy autocenzury. I kiedy „Młodzież" przestała być mile widziana w Staszicu i Zamojskim, ciągle jeszcze była tolerowana w Szkole Lubelskiej. Muszę się przyznać, że nadużywałem nieco liberalnych obyczajów panujących w szkole, zwłaszcza jeżeli idzie o usprawiedliwienie wagarów i spóźnień. Do szkoły spóźniałem się notorycznie, bo prasa warszawska docierała do Lublina po ósmej. Za usprawiedliwienie spóźnienia wystarczało — na ogół — wyjęcie gazety i położenie jej na ławce. Wagary zaś usprawiedliwiałem mówiąc, że byłem na wiecu politycznym, których wtedy organizowano wiele. Chcąc, żeby nauczyciel uznał takie usprawiedliwienie, trzeba było znać jego poglądy polityczne. Obowiązywała przy tym jedna zasada: jeżeli nauczyciel był — na przykład — endekiem, mówiło się o wiecu pepesiackim. Jeżeli był socjalistą — odwrotnie. Nauczyciele uważali wówczas za coś naturalnego nasze prawo do posiadania poglądów politycznych i szanowali je. Mówię tyle o tolerancji, bo uważam za fałszywy mit o wielkiej tolerancyjności Polaków. Owszem, byliśmy tolerancyjni, ale do czasów kontrreformacji. Później były wybuchy tolerancyjności w momentach przełomowych, takich jak: Konstytucja 3 Maja, odzyskanie niepodległości, czy wrzesień 1980 roku. W takich chwilach każdy żąda prawa do poszanowania inności, bo żąda takiego prawa dla siebie. Z chwilą, gdy już je uzyska, zaczyna starać się ograniczać prawa innych. Taki rozwój wydarzeń obserwowałem za czasów II Rzeczypospolitej. Boję się, że i dzisiaj może być podobnie.

M.Z.: — Panie profesorze, mówiliśmy o czasach lubelskich, a także o studiach prawniczych. Co było potem? Zdecydował się pan na kontynuowanie studiów, już czysto ekonomicznych, w Paryżu.

CZ.B.: — Tak, ale najpierw był jeszcze krótki epizod: zostałem zaangażowany na staż konsularny w Pradze, który pozwolił mi przekonać się, że praca w służbie dyplomatycznej jest zajęciem bardzo nudnym. Poglądu tego nie zmieniłem także po rocznej pracy, jako ambasador w Szwecji w końcowych latach czterdziestych. Z tym, że wówczas z pobytu w Pradze byłem zadowolony. Była to pierwsza prawdziwa praca, nieźle zarabiałem i zacząłem wreszcie korzystać nieco z uciech świata. Po raz pierwszy, bo w akademickich latach nie żyłem „życiem studenta" siedząc po uszy w książkach. Ówczesna Praga to w porównaniu z Warszawą prawdziwy Zachód. Wielkie miasto tętniące życiem politycznym, gospodarczym, pełne rozrywek. W Warszawie byłem świadkiem, a raz nawet uczestnikiem, niemal dramatycznych demonstracji socjalistycznych, które — na ogół — nie przebiegały spokojnie. W Pradze wtedy, a był to rok 1925, pierwszy raz widziałem pochody socjalistyczne i komunistyczne, które pilotowane były przez policję, strzegącą, aby nikt demonstrantom nie przeszkadzał. Uderzała w oczy duża tolerancja religijna. I wreszcie to, co najbardziej rzucało się w oczy w porównaniu z Polską: duża liczebność i aktywność klasy, która zapewne nie ma największego wkładu w rozwój kulturowy, ale jest niezwykle przydatna gospodarczo — drobnej burżuazji. W Pradze ostatecznie zdecydowałem o swojej przyszłości zawodowej. I wyjechałem do Paryża, gdzie kontynuowałem studia w sekcji ekonomicznej Szkoły Nauk Politycznych. Wybrałem status wolnego słuchacza, co pozwalało mi selekcjonować wykłady zgodnie z moimi zainteresowaniami. Jak widać, moja droga do zawodu ekonomisty była dosyć długa. Myślę, że nie jest dobre, to iż dzisiaj zmuszamy do określenia profesjonalnej przyszłości ludzi zbyt młodych, którzy nie mogą tego wyboru dokonywać w pełni świadomie.

M.Z.: — Po studiach powrócił pan do działalności wydawniczej już w prasie ekonomicznej, redagując „Gospodarkę Narodową".

CZ.B.: — Najpierw była publicystyka w piłsudczykowskiej „Drodze" i praca w Ministerstwie Przemysłu i Handlu. Był to rok 1927 i niewiele później nadszedł moment ożywienia polsko-radzieckich stosunków gospodarczych. Szczęśliwie dla mnie okazało się, że byłem jedynym z wchodzących w rachubę, który dobrze znał język rosyjski. I tak wylądowałem w Moskwie na krótko, jako polski radca handlowy, a następnie jako dyrektor mieszanego towarzystwa „Sowpoltorg". Pobyt w ZSRR dostarczył mi wielu elementów dla ukształtowania moich poglądów ekonomicznych.

M.Z.: — Właśnie kiedy próbowałem zaszufladkować pańską ideologię ekonomiczną, nie potrafiłem wymyśleć nic ponad to, że jest pan mniej liberalny niż Friedman i mniej totalitarny niż Preobrażeński. A to jest bardzo szeroki przedział. To tak, jak bym powiedział, że pan jest wyższy niż 1,5 a niższy niż 2 metry.

CZ.B.: — Na pewno jestem mniej liberalny niż Friedman. Co do moich poglądów, to zawsze przede wszystkim zajmowałem się polityką gospodarczą i ekonomią praktyczną, stąd nie przybrały one u mnie postaci zamkniętej teorii. Uważam — i o tym przekonały mnie między innymi obserwacje radzieckie — że możliwe są przekształcenia społeczno-gospodarcze, ale odczuwam nieufność do bardzo śmiałych programów przeobrażeń społecznych. Oś przewodnią mojego rozumowania stanowi sceptycyzm, który jest dwukierunkowy. Z jednej strony — sceptycznie jestem nastawiony do wszelkich poglądów konserwatywnych, z drugiej — do nadmiernej „postępowości". Cechuje mnie na pewno praktycyzm i jak sądzę, tolerancja do sposobów myślenia odmiennych od mojego. Od strony praktycznej wyraża się to w dewizie, że poszukuję kompromisu tak długo, jak długo wydaje się, iż można go znaleźć. Ale gdy okazuje się to niemożliwe, staję dęba.

M.Z.: — Obserwacje radzieckie z okresu pierwszej „piatiletki" uczuliły pana na niebezpieczeństwo planowania „napiętego"

CZ.B.: — Powiedziałem wtedy, niejako sumując obserwacje gospodarki radzieckiej, że dopiero następne pokolenie pokaże, co z tego wyniknie. Z tym, że jeżeli mówimy dzisiaj o zmianie radzieckiej polityki gospodarczej i odejściu od NEP-u, to zapominamy na ogół, że NEP „nie wypalił". NEP bazował na trzech założeniach: powstaniu rodzimego kapitału, napływie kapitału zagranicznego i dostępie do techniki zachodniej. Założenia te nie spełniły się. Kapitał i technika zagraniczna płynęły cienkim strumyczkiem, a kapitał wewnętrzny po pierwszym okresie, w którym przyczynił się do pewnego ożywienia gospodarczego, skierował się głównie w stronę interesów spekulacyjno-czarnorynkowych. Zmiana polityki gospodarczej była dla ZSRR koniecznością. Z tym, że przechodząc do budowy pierwszego planu pięcioletniego, popełniono zasadniczy błąd. Założono szeroką skalę przeobrażeń — co jest możliwe. Zakładano wielkie tempo przemian — co również jest możliwe. Niemożliwe jest tylko, aby zmiany były równocześnie szerokie i szybkie. Plan ten początkowo budowany był w dwóch wersjach. Jak byśmy dziś powiedzieli — w wariancie obaw i nadziei. Wariant nadziei uważany był za możliwy przy spełnieniu trzech warunków: braku zagrożenia wojną, pięciu kolejnych lat urodzaju i obfitego dopływu kapitału zagranicznego. Potem partia zadecydowała, że zostaje tylko jeden wariant — nadziei, bez względu na to, czy warunki te będą spełnione.

M.Z.: — Z tego, co wiem, cele planu były w czasie jego realizacji jeszcze podwyższane. Czy nie było tutaj podobieństwa do realizacji planu 6-letniego w Polsce, planu węgierskiego za Rakosiego i wreszcie naszego planu 1971—1975. Czy nie jest czasem tak, że przyjęcie napiętych zadań planu uruchamia mechanizmy samonapędzające?...

CZ.B.: — Po części tak; tak było zwłaszcza w pierwszym planie radzieckim. Ponieważ zadania postawiono zbyt trudne i realizacja ich nie wychodziła, pojawiło się hasło „idti na pieriełom", dalsze koncentrowanie środków i próba przyspieszenia tempa realizacji zadań. To oczywiście musiało kosztować i takim kosztem była kolektywizacja, przeprowadzana nawet bez nasycenia wsi środkami produkcji i przy ostrym spadku pogłowia. Natomiast w przypadku Polski początku lat siedemdziesiątych sytuacja była zupełnie inna. Pierwsze trzy lata to jeszcze okres rozsądnego planu przygotowanego poprzednio, a także faza wyjątkowych sukcesów. I to we wszystkim: szybki wzrost inwestycji, absorpcja nowej techniki, dynamiczny wzrost płac. Nie było powodów, żeby dalej „podkręcać" tempo. Przeciwnie, trzeba było zwolnić wzrost inwestycji i konsumpcji, żeby spokojnie zdyskontować sukces. Niestety, dostaliśmy zawrotu głowy od osiągnięć.

M.Z.: — Mieliśmy nie rozmawiać o gospodarce, ale jest pan z nią tak związany, że nie sposób się od niej oderwać. Mimo to może wrócimy do pana losów. Co robił pan po powrocie do kraju w latach trzydziestych?

CZ.B.: — Wtedy była „Gospodarka Narodowa" i współpraca w Ministerstwie Rolnictwa z min. Poniatowskim. Później musiałem przestać podpisywać „Gospodarkę", ale się z nią nie rozstałem.

M.Z.: — Dlaczego?

CZ.B.: — Dosyć ostro wojowaliśmy z wielkim ziemiaństwem, które uważałem za najbardziej konserwatywną siłę społeczną w ówczesnej Polsce. Wpływowy Związek Ziemian domagał się odejścia dyrektora departamentu ekonomicznego z „wrogiego rolnictwu" pisma.

M.Z.: — Praca nareszcie w kraju i znaczne sukcesy osiągnięte w latach trzydziestych musiały sprawić panu wiele satysfakcji.

CZ.B.: — Należę do pokolenia, które „dostało Polskę w prezencie". Byliśmy zbyt młodzi, żeby o nią walczyć i może dlatego z tym większym zapałem oddawaliśmy się „pracy organicznej". Z tym, że nie mieliśmy pewności sukcesu. Przeciwnie, gdy napływały do nas prace niemieckie zwiastujące nieuchronny upadek gospodarki polskiej, na chłodno musieliśmy przyznawać im sporo racji. Wydaje mi się, że po latach dezawuacji rzeczywistych osiągnięć międzywojennych popadliśmy niedawno w drugą skrajność — nadmiernej ich gloryfikacji. Był oczywiście COP, Gdynia i duża dynamika produkcji w drugiej połowie lat trzydziestych, ale nastąpiła ona po bardzo głębokim kryzysie; a po dużym spadku łatwo o znaczne przyrosty. Gospodarce udało się wtedy wchłonąć nieco nowoczesnej techniki i uruchomić produkcję nowych produktów. Były też i błędy: utrzymywanie ponadwartościowego złotego, co hamowało ożywienie gospodarcze; ówczesna polityka zbożowa; nadmierny protekcjonizm nie zmuszający do konkurencji z wyrobami zagranicznymi i stwarzający ochronę karteli. Ale przede wszystkim olbrzymim i nierozwiązanym problemem była sprawa wsi. Wielkie przeludnienie agrarne, uniemożliwiające postęp w rolnictwie i skazujące wielką część społeczeństwa na bardzo nędzną wegetację. Rozwiązanie tego problemu rozpocząć trzeba było koniecznie od wielkiej reformy rolnej. Reformę taką skutecznie hamowało ziemiaństwo. Szczególnie w okresie wielkiego zbliżenia między nim a sferami wojskowymi ziemiaństwo było wielką siłą. Tak jak się mówi, że w USA rządzi kompleks militarno-przemysłowy, tak ówczesną Polską rządził kompleks ziemiańsko-militarny.

Publikujemy pierwszą część obszernego wywiadu, jakiego prof. Bobrowski udzielił naszej redakcji jesienią 1981 roku. Dokończenie w następnym numerze.

ALEKSANDER BRYK

TELEFON z Lublina był krótki: zawierał informację o śmierci profesora Aleksandra Bryka. Uświadomiłam sobie, jak trudne jest podsumowanie całego dorobku tego kompozytora, pedagoga, organizatora...

Urodził się w roku 1905 w Zamościu. Uzdolnienia muzyczne i profesję odziedziczył po ojcu, Stanisławie Bryku, nauczycielu śpiewu i dyrygencie orkiestry szkolnej w gimnazjum zamojskim, który był pierwszym nauczycielem muzyki swoich synów: Aleksandra i Tadeusza.

Okres dzieciństwa i wczesnej młodości przyszły kompozytor spędził w Rosji. W roku 1907 rodzina Bryków wyjechała bowiem do Saratowa, a następnie osiadła w Pietrowsku. W mieście tym Aleksander uczęszczał do szkoły powszechnej, a od roku 1916 do szkoły realnej i muzycznej. Uczył się grać na wiolonczeli i klarnecie. Kiedy w roku 1921 Brykowie wrócili do Zamościa, Aleksander rozpoczął naukę w Państwowym Gimnazjum im Jana Zamoyskiego, a kontynuował ją w seminarium nauczycielskim w Szczebrzeszynie, gdzie w roku 1927 otrzymał świadectwo dojrzałości.

Studia muzyczne odbył w Państwowym Konserwatorium Warszawskim. Przypadły one na świetny okres dziejów tej uczelni. Jej dyrektorem był wówczas Karol Szymanowski. Grono pedagogiczne tworzyli tak znani nauczyciele, jak: Kazimierz Sikorski (wykładał harmonię i instrumentoznawstwo), Piotr Rytel (uczył form muzycznych) i Stanisław Kazuro (specjalista w dziedzinie kształcenia słuchu). Aleksander Bryk studiował na dwóch wydziałach: teoretycznym i nauczycielskim. Równocześnie pobierał lekcje gry na skrzypcach i uczęszczał do Instytutu Języków Wschodnich. 30 czerwca 1930 roku otrzymał dyplom ukończenia Państwowego Konserwatorium Warszawskiego, a miesiąc później znalazł się już w Szkole Podchorążych Rezerwy Piechoty w Tomaszowie Lubelskim. Ukończył ją w rok później.

We wrześniu 1931 r. osiadł w Łukowie i rozpoczął pracę pedagogiczną. Był nauczycielem muzyki w tamtejszych szkołach: w Państwowym Gimnazjum im. T. Kościuszki i w Gimnazjum Żeńskim Towarzystwa Szkoły Średniej. Okresowo dojeżdżał też do Siedlec, gdzie uczył w Państwowym Gimnazjum im. B. Prusa i w Państwowym Gimnazjum im. S. Żółkiewskiego. Mieszkając w Łukowie, Aleksander Bryk nie zaprzestał studiów nad kulturą orientalną. Kontynuował je w Instytucie Języków Wschodnich w Warszawie, gdzie poznał język arabski i turecki. Odbył też podróże kulturoznawcze na południe: pierwszą w roku 1932 do Turcji, drugą — w dwa lata później do Turcji, Jugosławii, Grecji i Bułgarii; do Turcji wrócił jeszcze w roku 1938.

Pracę dydaktyczną w Łukowie przerwało powołanie do 25 pułku piechoty w Piotrkowie Trybunalskim (w 1937 r.). Wkrótce jako oficer wojska polskiego kompozytor wziął udział w kampanii wrześniowej.

Lata okupacji spędził na Lubelszczyźnie. Ten gruntownie wykształcony muzyk parał się wówczas różnymi, bynajmniej nie artystycznymi zajęciami. Na jesieni 1939 r. pracował w tartaku i parkieciarni w Zawadzie, w roku 1942 w Spółdzielni Rolniczo-Handlowej „Snop" w Zamościu, zaś w roku 1943 — w gminnej mleczarni w Jastkowie. Pobyt na lubelskiej wsi kompozytor wykorzystał dostatecznie: gromadził melodie ludowe, a zebrany materiał muzyczny stał się wkrótce tworzywem jego utworów.

Przełom 1944/45 r. Aleksander Bryk raz jeszcze spędził w jednostce wojskowej (w Dęblinie). Ta kilkakrotna służba wojskowa, głównie w orkiestrach pułkowych, zaważyła na twórczości Bryka: obszerny dział jego dorobku kompozytorskiego stanowią utwory przeznaczone dla wojskowych orkiestr dętych, których specyfikę, problemy wykonawcze i repertuarowe znał doskonale.

Po wojnie podjął czasowo pracę w Państwowym Liceum Ogólnokształcącym w Piotrkowie Trybunalskim, a następnie w Wydziale Kultury i Sztuki w Łodzi. W roku 1947 przeniósł się do Lublina i odtąd nie zmieniał miejsca zamieszkania. Początkowo grał w orkiestrze Państwowej Filharmonii Lubelskiej. Pracował też w Wydziale Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego. Przez wiele lat był nauczycielem średniego szkolnictwa muzycznego. W roku 1957 reaktywował Średnią Szkołę Muzyczną Lubelskiego Towarzystwa Muzycznego, w której uczył do 1968 r. Stale współpracował z instytucjami działającymi na rzecz amatorskiego ruchu muzycznego, z ogniskami muzycznymi, z orkiestrami dętymi wojskowymi i straży pożarnej, z Zespołem Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej im. W. Kaniorowej, z Zespołem Akademii Rolniczej.

W roku 1971 Aleksander Bryk przeszedł na zasłużoną emeryturę. W ostatnich latach życia ciężko chorował. Zmarł w Lublinie 11 stycznia 1982 r.; spoczął na cmentarzu przy ul. Lipowej...

Jego działalność muzyczna miała charakter wielokierunkowy: kompozycja, pedagogika, publicystyka, działalność organizatorska. Spuściznę kompozytorską wyróżnia tak wielka zwartość, że trudno byłoby dokonać tradycyjnego podziału na okresy. W ciągu wielu lat twórczość ta ogniskowała się wokół podobnych gatunków i rodzajów utworów. Jedyną cezurę mogłyby wyznaczyć lata okupacji, kiedy to Aleksander Bryk zamilkł jako kompozytor. Ale w warunkach Polski Ludowej jego twórczość rozwijała się w kierunkach uprzednio zapoczątkowanych.

W dorobku kompozytorskim Bryka naczelne miejsce zajęła stylizacja materiału ludowego. Do tego działu twórczości należą liczne utwory na orkiestrę, zespoły wokalne i głos z towarzyszeniem instrumentów. Pierwsze tego rodzaju kompozycje powstały już w roku 1925: tańce regionalne z Zamojszczyzny, oparte na autentycznych melodiach ludowych. W okresie pobytu w Łukowie A. Bryk pisze „Tańce Podlaskie" (1937). Wiele utworów powstało po roku 1945. Są to suity, tańce, cykle pieśni, które weszły na stałe do repertuaru orkiestr symfonicznych i zespołów folklorystycznych. „Jarmark w Łukowie", „Cygan", „Mach" — to tylko niektóre z owych popularnych poza regionem i poza krajem kompozycji, do których Aleksander Bryk przywiązywał szczególną wagę.

Z olbrzymiego wachlarza propozycji, jakie w zakresie warsztatu kompozytorskiego stworzył wiek XX, Aleksander Bryk wybrał dwie: folkloryzm i orientalizm. Stosunek Bryka do folkloru bliski jest tradycji romantycznej. Jako podstawę kreacji muzycznej kompozytor przyjął zasadę ludowego cytatu. Tworzywem muzycznym, z którego buduje znaczną część swoich utworów, stały się melodie ludowe, a wśród nich szczególne miejsce zajął folklor regionu lubelskiego. W dziełach Bryka ów ludowy cytat dobrze stapia się w kontekst właściwości strukturalnych jego muzyki.

Szukając filiacji języka kompozytorskiego A. Bryka, stwierdzamy, iż niemałą rolę odegrały tu inspiracje płynące ze środowiska rodzinnego — zamojskiego, do których zresztą kompozytor się przyznawał. Chodzi tu o wpływ Namysłowskich i ich włościańskiej kapeli. Słyszał ją Bryk po raz pierwszy w roku 1923 jako uczeń zamojskiego gimnazjum i wywarła ona na nim tak silne wrażenie, że — jak przyznał po latach — nie miał najmniejszej wątpliwości, „jaki kierunek studiów wybierze". Zresztą właśnie A. Bryk stał się biografem Namysłowskich i kronikarzem ich włościańskiej orkiestry. Dla tego zespołu skomponował i zinstrumentował wiele utworów.

Zainteresowania folklorystyczne Bryka nie były odosobnione po roku 1945. W tych czasach wielu kompozytorów weszło na drogę porozumienia ze słuchaczami poprzez świadome nawiązanie do romantycznego sposobu traktowania materiału ludowego.

Na ukształtowanie języka muzycznego i postawy A. Bryka znaczny wpływ wywarło środowisko warszawskiego konserwatorium. Stąd można wywodzić zainteresowanie kompozytora folklorem i interpretowanie muzyki ludowej jako miary niezawodnej odrębności polskiego stylu i poczucia formy. W okresie studiów Bryka dyskusje na temat kształtu polskiej kultury i społecznej roli muzyki były żywe w środowiskach artystycznych. Brał w nich udział Karol Szymanowski, uczestniczyli profesorowie konserwatorium, wypowiadali się na łamach prasy młodzi kompozytorzy. Oddziaływania warszawskiego środowiska można dopatrzeć się także wtedy, gdy zastanowimy się nad źródłami specyficznych zainteresowań Bryka kulturą Wschodu. Dają się one zinterpretować jako odbicie pewnych idei, obecnych w sztuce europejskiej początku naszego stulecia. Inspiracje egzotyczne widoczne są w dziełach K. Szymanowskiego, zwłaszcza z drugiego okresu twórczości, i to nie tylko w programowych tytułach, ale przede wszystkim w tworzywie muzycznym. Z pewnością te utwory swojego profesora kompozycji A. Bryk znał z czasów studiów.

Warto w tym miejscu przypomnieć, że A. Bryk nie jest jedynym muzykiem Lubelszczyzny, wykazującym zainteresowanie Orientem. Wybitnym jego poprzednikiem jest Ludomir M. Rogowski, ów twórca rodem z Lublina, poszukujący prasłowiańskości w odległej Persji. Wiązanie wątków słowiańskich i orientalnych przez kompozytorów należących do różnych generacji, lecz wywodzących się z jednego regionu, skłania do poszukiwań uzasadnienia w klimacie kulturowym ich ziemi rodzinnej. Lubelszczyzna jest terenem, na którym od wieków krzyżowały się wątki kultury wschodniej i zachodniej. Odłożyły się one w głębokich warstwach kultury tego regionu. Można wskazać wiele przykładów powiązań, w świetle których postawa estetyczna Aleksandra Bryka będzie się nam jawić nie jako artystyczny kaprys, lecz jako kontynuacja niewyjaśnionej dzisiaj do końca lokalnej tradycji. Zafascynowanie Orientem dało o sobie znać w wielu utworach kompozytora. Inspiracje tureckie, perskie, czy kurdyjskie zauważamy zarówno w warstwie treściowej, jak i formalnej jego muzyki. Odczytujemy je zarówno w programowych tytułach kompozycji („Sark masały", 1935 r.), w wyborze tekstów („Opowieść o lampie Alladyna", 1933 r.), jak i w sposobie organizacji materiału dźwiękowego („5 pieśni na sopran z towarzyszeniem instrumentów tureckich", 1933). Supremacja czynnika brzmieniowego, specyficzny koloryt, uzyskany dzięki efektom instrumentacyjnym i harmonicznym, to tylko niektóre cechy utworów Bryka, zrodzonych z zainteresowań ogólnokulturowych kompozytora (znaczny wpływ miały tu podróże do Turcji, studia nad kulturą turecką i badania językoznawcze).

Zinteresowaniom literackim Bryka należy zawdzięczać powstanie wielu jego kompozycji, które zostały zainspirowane naszą wielką literaturą, m.in. staropolską.

* * *

Sylwetkę muzyczną Aleksandra Bryka charakteryzuje też działalność pedagogiczna. Na lekcje folkloru, instrumentoznawstwa teoretycznego i praktycznego profesora uczęszczały całe pokolenia uczniów średniej Szkoły Muzycznej i lubelskiego Liceum Muzycznego. Zadziwiał słuchaczy nowoczesną metodą prowadzenia zajęć, odbiegającą od form powszechnie w szkole przyjętych. Lekcje nie mieściły się w schemacie jednostek, wyznaczonych kolejnymi dzwonkami. Odmiennie były przekazywane treści teoretyczne, które zwykle utrwalano ćwiczeniami praktycznymi. Nie należało do rzadkości, że na zajęciach z instrumentacji nawet dziewczęta zobligowane były do wykonania swego „dzieła", grały więc partie trąbki, altu, tenoru czy barytonu.

Jako pedagog Aleksander Bryk udzielał się nie tylko w zawodowym szkolnictwie muzycznym. Dla dyrygentów orkiestr dętych przygotował podręcznik instrumentacji. Organizował i prowadził kursy dla kierowników orkiestr strażackich. Przygotowywał repertuar dla zespołów amatorskich: marsze dla orkiestr dętych, suity dla zespołów folklorystycznych, balety: „Opowieść o lampie Alladyna" i „Praca" oraz operę „Leśna kapela" dla zespołów dziecięcych.

Aleksander Bryk pozostał wierny przez całe życie idei wychowania muzycznego narodu wyniesionej z wydziału nauczycielskiego konserwatorium, a propagowanej w czasach jego studiów przez K. Szymanowskiego.

Mieczysława Demska-Trębaczowa

WANDA TACZANOWSKA

WANDA Taczanowska, emerytowana nauczycielka historii sztuki w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych w Lublinie, gdzie przepracowała lat ponad 20, zmarła 11 maja 1982 roku.

Jej wychowankowie i koledzy twierdzą, że była człowiekiem niezwykłym, bo dobrym. Jeszcze długo po opuszczeniu szkoły często pojawiała się w budynku przy ul. Plażowej, służąc swoją radą i pomocą zarówno uczniom, jak i nauczycielom. Oni z kolei odwiedzali Ją w domu, znajdując tam życzliwość i mądre słowo. Tym, którzy wybierali się na studia, udzielała korepetycji — bezpłatnie, co trzeba chyba uznać za fakt bez precedensu.

Nie znałem Jej bliżej, bodaj dwa czy trzy razy zamieniłem tylko kilka konwencjonalnych słów z nieśmiało uśmiechniętą starszą panią. Można to uznać za niezręczność, ale przyznaję, że zaintrygowało mnie wtedy Jej uczesanie: gładkie, siwe włosy uformowane „na chłopczycę". Było to podczas jakiejś publicznej uroczystości i na tle oficjalnie umundurowanego tłumu ta lekko pochylona kobieta wyglądała niezwykle, jak ktoś z zupełnie innego świata, może z tych odległych lat dwudziestych, kiedy to młode dziewczęta nosiły białe bluzki i granatowe plisowane spódniczki, czesząc się tak właśnie.

Kiedy później, zbierając materiał do jednej ze swoich książek, natknąłem się na archiwalny dokument z jej podpisem, ten wizerunek starszej pani znów pojawił mi się przed oczyma, nakładając się na treść owego pożółkłego skrawka papieru z maja 1945 roku. Jedno do drugiego pasowało idealnie, albowiem z pisma wynikało, że omijając palące tomaszowską ziemię bandy UPA, referentka kultury i sztuki w starostwie powiatowym, Wanda Taczanowska, cierpliwie rejestruje zabytki architektury i budownictwa ludowego. Jest osiem kościołów sprzed 1850 roku i pięć cerkwi — informowała Lublin — a dwór w Łaszczowie wydaje się „dość zniszczony". Ze sprawozdania wynikało, że referentka osobiście dotarła do każdego obiektu — w takich warunkach! Pomyślałem sobie wtedy o pewnej formacji Polek, które w młodości czesały się „na „chłopczycę"...

Życiorys Wandy Taczanowskiej wydaje się jednak zwyczajny, może poza jednym epizodem. Urodziła się 2 grudnia 1906 roku w hrubieszowskim Gozdowie, gimnazjum żeńskie kończąc w Zamościu (1925). Później studiowała w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych, przemianowanej z czasem na ASP, gdzie dyplom uzyskała w 1931 r. Następnie pracowała w gimnazjach Lublina, nauczając rysunku i zajęć praktycznych. Podczas okupacji była delegatem Rady Głównej Opiekuńczej na gminy: Pasieki i Tomaszów — od jesieni 1940 do stycznia 1945 roku. Znaczy to, że przez prawie pięć lat pomagała ludziom przeżyć, dostarczając potrzebującym leki, odzież, żywność i zasiłki pieniężne, kierowane na jej ręce przez tę polską organizację samopomocy społecznej.

Po wyzwoleniu podjęła pracę we wspomnianym starostwie, aby we wrześniu 1945 roku wrócić do szkolnictwa lubelskiego — na wstępie do Gimnazjum Unii Lubelskiej oraz krawieckiego, gdzie nauczała historii ubiorów. Później, w innych szkołach, wykładała też język polski, historię, etykę, historię architektury. W 1952 roku trafiła do Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych, by pozostać w nim do połowy lat siedemdziesiątych, przez dłuższy czas pełniąc funkcję wicedyrektorki. Otrzymała Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski (1972) oraz Medal Komisji Edukacji Narodowej (1980).

Podejmując pracę w liceum plastycznym, Wanda Taczanowska złożyła zwyczajowy wtedy akt ślubowania:

„Ślubuję uroczyście w wykonywaniu swych obowiązków służbowych, szczególnie w zakresie wychowania i nauczania młodzieży, przyczyniać się ze wszystkich sił do ugruntowania wolności, niepodległości i potęgi demokratycznego Państwa Polskiego, któremu wierność zawsze dochowam, strzec niezłomnie przepisów prawa, mając wszystkich obywateli w równym poszanowaniu, umacniać poszanowanie prawa i wierność dla demokratycznego Państwa Polskiego; obowiązki swego stanowiska wypełniać gorliwie i sumiennie, polecenia moich przełożonych wykonywać dokładnie, dochować tajemnicy służbowej, a w postępowaniu kierować się zasadami godności, uczciwości i sprawiedliwości społecznej".

Ludzie znający Wandę Taczanowską twierdzą, że ślubowania tego nigdy nie traktowała jako formalności, o której na drugi dzień można zapomnieć.

IJK

Magia ziół

Dostępne na naszym rynku, bądź nadające się do uprawy na działkach czy balkonach, zioła kulinarne mają swoją historię i właściwości, o których warto wiedzieć, albowiem obyczaje i tradycje żywieniowe ewidentnie świadczą o kulturze społeczeństwa. „Życiorysy" popularnych roślin ziołowych publikujemy za pionierską na gruncie polskim książką Mariana Janusza Kawałki pt. „Historie ziołowe", która w roku 1983 ukaże się nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej w Lublinie.

(Red.)

Cząber ogrodowy

Marian Janusz Kawałko

CZĄBER (*Satureja*) znany był już w starożytności. „Satur" oznacza w łacinie „nasycony, obfity". W rzymskiej etymologii ludowej pierwotną nazwę ziela wyprowadzono od lubieżnika Satyra, co zdaje się sugerować, iż spełniało ono niejedną rolę afrodyzjaka, środka wzmacniającego popęd płciowy.

Od kiedy Rzymianie zainteresowali się na serio sztuką przygotowywania posiłków, stworzyli oni cały system reguł żywnościowych i towarzyskich. Mało! — wypracowali określoną tradycję kulinarną, która z pewnymi modyfikacjami rozeszła się po różnych krajach europejskiego Zachodu. Zachowany do dziś rękopis książki kucharskiej C. Apiciusa, datowany na II—III wiek naszej ery, jest tego dobrym przykładem. Ale też należy widzieć ów manuskrypt przede wszystkim jako dokument kuchni luksusowej, która przyprawom ziołowym niepoślednią przypisywała rolę.

Oto niektóre potrawy starorzymskie aromatyzowane cząbrem ogrodowym:
- warzywa duszone w sosie, sporządzonym z rosołu, oliwy i wina (przyprawy sosu: tarty pieprz, suszony lubczyk i cząber, suszona cebula);
- kura gotowana na sposób „frontoniarski", to znaczy w wywarze, do którego dodawano oliwę i wkładano pęczek ziół (koper, por, cząber oraz siele kolendry) — zaś przed podaniem nacierano ją moszczem winnym i posypywano pieprzem;
- sos do ryb gotowanych (wywar, ocet, oliwa, żółtka, pieprz, lubczyk, nać kolendry, cząber, cebula).

Roślinę uprawiano także jako tzw. „zioło wieńcowe", którym ozdabiali sobie skronie szacowni Rzymianie.

Być może, pierwotnie roślina ta występowała tylko na terenach wokół Morza Czarnego, we wschodniej części strefy śródziemnomorskiej, w północnej oraz środkowej Italii, we wschodnich Indiach oraz Kraju Przylądkowym (RPA). Do północno-zachodniej Europy cząber został zawieczony wraz z legionami rzymskimi i szybko zaakceptowany przez kuchnię angielską oraz francuską. Według A. Rumińskiej, zawędrował on do Ameryki Północno-Wschodniej z emigrantami europejskimi, chociaż G. Hegi wysunął hipotezę o rodzimym pochodzeniu zioła na tamtym terenie.

Wydaje się prawdopodobnym, iż Włosi jako pierwsi zajęli się uprawą zioła — być może miało to miejsce już u schyłku starej ery.

Od IX wieku gatunek ten rozpowszechniły klasztory francuskie i niemieckie; na planie ogrodu klasztornego w St. Gallen występował on jako „sataregia"; bł. Hildegarda von Bingen określała go mianem „satereia", zaś Albertus Magnus — „saturegia".

Czołowy botanik i językoznawca, Józef Rostafiński (1850—1928), dowodził o znajomości rośliny w Polsce średniowiecznej, przytaczając na dowód najwcześniejsze nasze XV-wieczne rękopiśmienne zabytki medyczne (antidotarium Jana Stanki z lat 1465—1472, rkps Biblioteki Jagiellońskiej nr 778 — datowany na rok 1437 i inne). Polską nazwę zioła wywodził on z łacińskiego określenia „timbra", przez pośrednictwo czeskiego „čabru".

W latach pięćdziesiątych XVI stulecia Marcin z Urzędowa tak zanotował: „Cąmbr jest pospolite ziele, że je też w serzech jedzą w Polszcze" (podkr. — M. J. K.). Informacja była to wiarygodna, aczkolwiek niepełna. Uzupełnił ją Syreniusz, pisząc, iż „cąbr ogrodowy jest pospolitym korzeniem wiejskiem do zaprawiania potraw"... Ponieważ smakiem nieco przypomina pieprz (obecność olejku lotnego), nic zatem dziwnego, że w dobie Odrodzenia, kiedy ceny wschodnich przypraw kształtowały się na dość wy-

Rys. Maria Tyszenhaus

sokim poziomie, uboższe warstwy musiały zadowalać się takim właśnie surogatem ziołowym. Uwaga ta dotyczyła głównie „prostego ludu", który za czasów Zygmunta III Wazy doprawiał cząbrem potrawy z ryb, baraniny, bób, niektóre sosy, surówki warzywne, „a z pietruszką w oliwie smażony, przyjemny pokarm tak miejskim, jako wiejskim ludziom czyni". Była to więc głównie przyprawa wsi pańszczyźnianej, zapewne także w Polsce.

Renesansowa medycyna przypisywała roślinie zdolność uśmierzania bólów głowy i przewodu pokarmowego, zabijania pasożytów jelit, leczenia upławów, a nawet sklerozy „wieniec z niego na głowie nosząc" (!).

Później wokół cząbru zapanowała znowu milczenia i liczne kulinaria XIX-wieczne są tego wymownym przykładem. Choć nie wszystkie. Z „Ekonomiczno-technologicznej encyklopedii" J. G. Krünitza (T. 136, Berlin, 1824) dowiadujemy się, że podówczas na terenie Niemiec oraz w angielskich ogrodach warzywnych saturejka należała do często uprawianych gatunków. Kucharze Albionu z życzliwością odnosili się do niego, co było o tyle nietypowe, że na Starym Kontynencie już dawno ochrzczono cząber mianem „przyprawy biednych ludzi" (1537). Epitet ten bynajmniej nie przeszkadzał Brytyjczykom w reklamowaniu cząbru na łamach swoich podręczników kucharskich. Niektóre z tych wydawnictw tłumaczono też dla czytelników niemieckiej strefy językowej. Ewenementl

Była w tym jednak metoda; chodziło mianowicie o zaszczepienie na gruncie germańskim wzorców kuchni europejskiej. Owa filozofia, rozszerzona także na inne dziedziny i swoiście interpretowana, ujawniła się przecież gorzko podczas ostatniej wojny...

Wróćmy jednak na Wyspy Brytyjskie. Oto zestaw potraw aromatyzowanych zielem cząbru, wybrany z XIX-wiecznej kuchni angielskiej:
- farsz do szczupaków, łupaczów i dorszy suszonych, zwanych pospolicie sztokfiszami: ze słoniny, tłuszczu wołowo-nerkowego, masła, cebuli, sardeli, tartej bułki, jaj, zielonej pietruszki oraz świeżych ziół (tymianek, cząber, majeranek); nadziankę przyprawiano dodatkowo gałką muszkatołową, pieprzem i solą;
- zaprawa do polędwicy wołowej, przeznaczonej na „boeuf a'la mode" (mięso zanurzano naprzód w occie, potem zaś nacierano mieszanką aromatyczną, złożoną z pieprzu, owoców pimentowych czyli ziela angielskiego, goździków, zielonej pietruszki, szczypiorku, tymianku, majeranku, cząbru i soli);
- wywary, w których gotowano drób grzebiący, gołębie, cielęcinę i mięso wołowe (z wiązką ziół);
- duszona wołowina;
- farsz do kaszanek (w tym przypadku stosowano cząber zimowy — *S. montana*).

„Cała roślina ma korzenno-aromatyczny zapach i mocny, pieprzny smak, więc ze względu na te cechy jest często używana do przyprawiania potraw, octu ziołowego i innych pożytecznych rzeczy. [...] W ogrodach południowych Niemiec rozmnaża się saturejka przez samozasiew, nie potrzebuje zatem dalszej specjalnej uprawy, poza tym, że gdy rośnie zbyt gęsto, wykopuje się pojedyncze roślinki i przesadza na inne miejsce. Zabieg ten wykonuje się pod koniec maja". Tak pisał encyklopedysta berliński w roku 1824.

Jako przyprawa cząber bywa stosowany nadal — głównie przez Anglików i rdzennych Niemców (częściowo także Francuzów) oraz na terenach polskich objętych germanizacją. Z badań B. Markuzy-Bienieckiej (1976) wynika, że ziele cząbru w formie przyprawy używane jest jeszcze czasem na terenie województwa słupskiego, bydgoskiego i Kaszub, a więc obszarze będącym kiedyś pod wieloletnim zarządem niemieckim.

Różnorodność substancji biologicznie aktywnych w ziele sprawia, iż przypisuje się mu szereg właściwości fitoleczniczych. Ich znajomość ważna jest także dla specjalistów kierujących żywieniem dietetycznym. Roślinę traktuje się jako środek pobudzający trawienie, moczopędny, wiatropędny, wzmacniający układ nerwowy, przeciwkatarowy i przeciwkaszlowy (w postaci odwarów), tonizujący. Natomiast w technologii żywności świeże lub ususzone ziele *Satureja hortensis (tarte względnie mielone)* zaleca się wykorzystywać między innymi do:
- uatrakcyjniania smaku serów twarogowych (stąd ludowa niemiecka nazwa gatunku: przyprawa serowa);
- aromatyzowania kiełbas;
- przyprawiania potraw smażonych i duszonych z mięsa zwierząt rzeźnych (np. kotlety siekane), drobiu, ryb i sałatek z ziemniaków;
- zaostrzania smaku gotowanego bobu, grochu i fasoli (dodatkowa korzyść zdrowotna — to osłabienie wzdymającego działania strączkowych);
- przyprawiania sałaty i innych surówek warzywnych (świeże ziele);
- zupy fasolowej na różne sposoby (np. po serbsku: z duszonymi warzywami i mięsem);
- „krótkiego wywaru" do gotowania lub duszenia ryb;
- potraw z grzybów duszonych lub smażonych — za wyjątkiem pieczarek — a także pasztetów i forszmaku;
- majonezu i niektórych sosów gorących, kapusty słodkiej oraz bigosu (propozycje kuchni węgierskiej);
- zalewy słodko-kwaśnej używanej przy kwaszeniu i konserwowaniu ogórków lub zielonego groszku (w tym celu zaleca się stosować cząber świeży, ścinany na krótko przed kwitnieniem);
- dosmakowywania niektórych potraw z jaj (omlet), rosołów i potraw jednogarnkowych.

Powyższe zalecenia pochodzą głównie ze współczesnej kuchni francuskiej. Jesteśmy zatem świadkami prawdziwej rehabilitacji omawianej ingrediencji, która przez dziesiątki lat towarzyszyła potrawom wiejskim, choć warta jest ocen najpochlebniejszych. Z własnego wiem doświadczenia, iż suszona roślina może być traktowana jako przyprawa niemal uniwersalna, zaś jej uprawa działkowa nie wymaga szczególnych starań.

Przez wzgląd na interesujący aromat i smak, przypominający pieprz, zioło powinno trafić szczególnie do takich dań dietetycznych, w których wyklucza się ostre przyprawy, zaś dopuszcza potrawy pełnobiałkowe (kamica żółciowa, schorzenia wątroby), lub jarskie (arterioskleroza). Dobrze jest łączyć ziele cząbru ogrodowego z niewielką ilością mielonych owoców kolendry i gorczycy białej, ewentualnie pieprzowca rocznego (papryka). Należy jednak pamiętać o goryczach zawartych w ziele i dodawać je do gotowanych potraw na krótko przed zakończeniem obróbki termicznej.

TSA - MŁODOŚĆ - ŻYWIOŁ - FANTAZJA

CÓŻ można napisać o zespole działającym niewiele ponad dwa lata? Historia muzyki rozrywkowej podaje liczne przykłady długotrwałych nierzadko żmudnych prób i przygotowań do startu w muzycznej loterii. Często na swoje pięć minut przychodzi czekać latami. W przypadku opolskiego kwintetu TSA dokonania jednego tylko 1981 roku są tyleż doniosłe, co zaskakujące. Dość wymienić jednym tchem gorąco przyjęte występy w serii takich znaczących imprez jak: Ogólnopolski Przegląd Muzyki Młodej Generacji (Jarocin), Rock na Wyspie (Wrocław), Pop Session (Sopot), Rock Jamboree (Warszawa), Jesień z Bluesem (Białystok), Rockowisko (Łódź) i Silesian Rock (Katowice). W rekordowo krótkim czasie grupa TSA zdobyła główne trofeum jarocińskiego przeglądu — „Złotego Kameleona", utrwaliła w

POCZTA LITERACKA

Mirosław M. Sosnowiec. Pański list i załączone utwory mogłyby stać się przyczyną napisania odrębnego artykułu, albo naszej długiej rozmowy. „Piszę do was jako poeta-robotnik, który żyje po nic, który mógłby zostać inteligentem — znajdujemy w tej korespondencji między innymi — lecz nic by mu to nie dało, który jest snobem, jedynie samoukiem, filozofem, który ma wszystko za nic i nic za wszystko, który gardzi sobą i całą szanowną resztą, który wyrwał się z szablonu wciśniętego w cywilizację i daną subkulturę, który czuje się wolny, a zarazem dusi się zawalany przepisami prawnymi zmuszającymi do sztucznego, szablonowego trwania, który buntuje się przeciwko prawnemu rządzeniu ludzi przez ludzi, który buntuje się przeciwko alfabetowi i logice naszych czasów, który zazdrości Robinsonowi Cruzoe i współczuje mu jedynie, że zmuszony był żyć w celibacie..." W innych częściach listu nagromadził Pan wiele jeszcze przyczyn, które ukształtowały Pański stosunek do otaczającego świata. Sądząc z utworów, które uważa Pan za poezje, epatuje Pan wyraźnie i swoimi 21 latami, i tym, że jest Pan robotnikiem, i że poprzestał Pan na wykształceniu podstawowym. Co Panu z tego przyjdzie, kto może wiedzieć? Najlepiej Pan. Niechże Pan zrewiduje swoje podejście do tych spraw. Nie jest tak źle.

Natomiast ta gniewność dobrze służy wyrażaniu myśli w utworach, to widać, szczególnie, gdyby zdecydował się Pan na prozę. Nawet ten ekshibicjonizm, przyjęty przez bohaterów, służyłby czemuś. Tak zwane mocne słowa, sytuacje (śmierć dziadka i to, co dzieje się za ścianą), wszelka anatomia w wierszach, w tym wydaniu, z jakim mogłem się zapoznać, są odstręczające. A pogardę dla ortografii i gramatyki, o której pisze Pan także, nich Pan zarzuci. Ktoś, kto innym pragnie przekazywać swoje dzieje, powinien jednak posłuchać M. Konopnickiej, która napisała: „Pójdź dziecię, ja cię uczyć każę!"

Franciszek K. Serpelice, p-ta Hołowczyce. Spóźniona to bardzo odpowiedź. Coś w Panu drzemie, to dobre coś. Niech Pan nadeśle nowe utwory.

Janusz T. Puławy. Wykorzystywanie motywów biblijnych w wierszach może okazać się płodne, szczególnie gdy — tak jak u Pana — ich treść społeczna koresponduje ze współczesnością poety. W innych za dużo opisu, jakby reporterskości. Musi Pan znaleźć własny sposób przetworzenia tego, co Pan obserwuje, w czym współuczestniczy, co Pan z tego uznaje, albo czemu chce się Pan przeciwstawić. Proszę za kilka miesięcy zapoznać nas z nowymi wierszami.

TJ

krakowskim studiu dwa single i koncertowy lon, play dla „Tompressu" Takiego powodzenia nie zanotowała dotąd żadna z nowych formacji, a jest ich ostatnimi laty wiele

Sukces TSA określa najlepiej jego muzyka — ostry *heavy metal* rock, grany z wyjątkowym smakiem, młodzieńczą spontanicznością i finezją W kompozycjach członków zespołu wyczuć można wpływ tytanów — Johny'ego Wintera Alvina Lee i australijsko-walijskiej grupy AC/DC co w oczach uczestników mitingów rockowych przydaje muzykom dodatkowego blasku Koncerty TSA są ekspresyjne, rozhuśtane i radosne. Dynamiczne, choć w zasadzie proste harmonicznie, utwory działają na zmysły młodzieży, podrywają z miejsc, prowokują do wspólnej zabawy I choćby dlatego za każdym razem estrada oblegana jest przez rozentuzjazmowanych fanów, zaś atmosfera koncertu przypomina żywo widowiska gwiazd rockowego boomu z początku lat siedemdziesiątych Służba porządkowa nie panuje zwykle nad nerwowo kołyszącym się tłumem nastolatków, ale też przy szalenie głośnej i rytmicznej muzyce nie sposób usiedzieć spokojnie. Efektowne riffy i vibrata dwóch gitar solowych są nośnikiem nastroju, nadają tempo i charakter zabawie, w której na równych prawach uczestniczą słuchacze i instrumentaliści. Trudno opisać wszystkie wrażenia towarzyszące popisom scenicznym TSA, wielce barwnym i widowiskowym Faktem jest, że tłumy entuzjastów długo wiwatują na cześć zespołu, nie pozwalając mu zejść ze sceny.

Historia TSA (skrót od Tajnego Stowarzyszenia A) rozpoczęła się w pierwszych miesiącach 1980 roku. Po warsztatach muzycznych w Głubczycach (latem 1980 roku) nastąpiła wyraźna konsolidacja czwórki zapaleńców, uprawiających dotychczas różne gatunki muzyki Basista Janusz Niekrasz i gitarzysta Stefan Machel grali jazz drugi gitarzysta Andrzej Nowak, interesował się głównie bluesem, a perkusista Marek Kapłon gustował w klasycznym rocku Wspólnie zdecydowali się na muzykę znaną im z płyt AC/DC — najtwardszą z twardych odmian rocka Grupa błyskawicznie osiągnęła sprawność warsztatową i dojrzałość artystyczną Po występie w Jarocinie (czerwiec 1981) kiedy dołączył do nich wokalista Marek Piekarczyk śpiewający uprzednio w Sektorze A, nadszedł czas triumfów

Każde pojawienia się TSA w jakimkolwiek zakątku kraju wywołuje te same reakcje odbiorców — entuzjazm i podziw burzliwe oklaski i prośby o bisy. Grupa stała się absolutnym idolem młodego pokolenia, awansując do miana sztandarowego wykonawcy Muzyki Młodej Generacji Nic zatem dziwnego w tempie, z jakim zawojował listy przebojów utwór — wizytówka TSA: — „Mass — Media" Równie gorąco przyjmowane są inne kompozycje grupy: „Spółka" „Nocny sabat", „51.7", „Góral", „Konsylium", „Blues na rozluźnienie" czy „Zrzynka".

Sądzę, że wydanie przygotowanego już longplaya będzie właściwym podsumowaniem pierwszego etapu działalności kwintetu, który wniósł na nasze sceny powiew świeżości i naturalności, cechy brakujące rodzimym wykonawcom rocka Inwencja i zapał, z jakim muzycy realizują plany artystyczne, każą upatrywać w TSA zjawiska o żywocie nieco dłuższym niż jeden sezon.

Istvan Grabowski

Fot. Archiwum

KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI

Z raptularza historyka

NA rynku księgarskim pojawiła się kolejna książka lubelskiego historyka, dr Adama Andrzeja Witusika, zatytułowana „Z raptularza historyka" Jest to zbiór szkiców z zakresu polityki, kultury, obyczajów XV—XIX w., związanych biografiami bohaterów bądź miejscami wydarzeń z Lubelszczyzną, czego przykładem może być esej o Andrzeju Tęczyńskim z Kraśnika. Ich osnową, jak to bywa u Witusika, są ciekawe, niejednokrotnie mało lub nawet całkiem nieznane przekazy źródłowe, które autor, dopisawszy ich początek i zakończenie, umiejscawia w należytym rozdziale naszych dziejów.

Część szkiców zrodziła się z wieloletnich badań autora nad przeszłością Zamościa, a zwłaszcza nad działalnością właścicieli miasta oraz osób z nimi związanych, i dotyczy postaci powszechnie znanych; Jana Zamoyskiego, Bernarda Moranda, Szymona Szymonowica... Nie umniejsza to wcale ich wartości; fakty zanotowane już w pamięci czytelników autor naszkicował jedynie, eksponując zarazem te, na które nie starcza miejsca w podręcznikach historii. Odnosi się to także do wielu innych bohaterów Witusikowych „drobiażdżków", traktujących chociażby o afektach miłosnych naczelnika Tadeusza Kościuszki, amerykańskich peregrynacjach Niemcewicza, czy zabawach orientalnych na puławskim dworze. Nie zabrakło też szkicu o rozpalającej namiętności, pięknej Marysieńce, który przynosi mało znane, a przecież równie pełne zmysłowości jak do Sobieskiego, jej listy do pierwszego męża, Jana „Sobiepana" Zamoyskiego, ozdobione np. takimi wyznaniami: „Zaklinam WMść, najdroższe moje serce, wracaj WMść jak najszybciej... Powiem WMści nowinę: z miłości do WMści przyzwyczaiłam się pić trochę wina; na WMści powrót, który oby jak najszybciej nastąpił, wypiję go pół szklanki Proszę, wierz mi WMść, że jestem, najdroższe moje serce, WMści pokorną, posłuszną, wierną i, oddaną do usług żoną".

Witusik, znakomicie posługując się naukowym warsztatem historyka, jeszcze raz dał się poznać jako dobry popularyzator dziejów ojczystych, obdarzony reporterskim zmysłem. Wymownym tego dowodem są sensacyjne wręcz szkice, dotyczące: pomówienia na zjeździe w Horodle czwartej żony 76-letniego podówczas Władysława Jagiełły, 22-letniej księżniczki rusko-litewskiej Zofii, o zdradę małżeńską; niedoszłego małżeństwa Jana Tęczyńskiego ze szwedzką królewną Cecylią; głośnego odbicia z klasztoru Zofii i Doroty Dembińskich przez Aleksandra Koniecpolskiego, w którą to sprawę zaangażował się sam papież Paweł V.

Na uwagę też zasługuje wydobyty z zapomnienia, a barwnością stylu nie ustępujący Paskowemu, pamiętnik kasztelana chełmskiego Stanisława Druszkiewicza, którego fragment, opisujący chrzciny córki Anieli, jest tego najlepszym dowodem: „Popiwszy się czeladź zwadzili się w sieniach, potem i panowie do nich się wzmieszali i niezwyczajnie siekli się, a w nocy jeden drugiego nie znając, jeno kto kogo mógł namacać Brata mego wujecznego rodzonego, Pana Jerzego Proszczyckiego, w rękę lewą szkodliwie zacięto nad kostką i w gębę, i w kolano Siostrzeńca mego, Pana Aleksandra Tołkacza, przez udo na wylot postrzelono Pana Rybińskiego, kuma mego, w łeb zacięto Czeladzi kilkanaście było posieczonych Byłoby było i więcej mięsa, kiedby nie hamowano z multanem (z licznymi) nietrzeźwego gospodarza. Jednak i mnie się dostało. Dopadłem pistoleta na kółku, na uhamowanie tego hałasu przez okno strzeliłem, rozerwał się pistolet i w róg mię obraził czoła. Tak to krwawe chrzciny były Anielusi..."

Ta gładko napisana książka jest nie tylko wyrazem umiejętności popularyzatorskich Witusika, ale jednocześnie poświadcza głęboką znajomość omawianych dziejów przez autora, jego swobodę poruszania się wśród źródeł. Przynosi ona wreszcie szereg dokumentów dotychczas nieznanych w naszej historiografii, czego przykładem bezprecedensowe listy jeńców cecorskich Jest to więc w sumie książka i dla osób zainteresowanych naszą przeszłością, i dla historyków z profesji, z myślą o których autor sporządził m.in zestaw źródeł rękopiśmiennych. Zwracają wśród nich uwagę dokumenty znajdujące się za granicą: w Centralnym Historycznym Archiwum Państwowym USRR w Kijowie i Bibliotece Naukowej Uniwersytetu Lwowskiego im. I. Franki.

Bogato ilustrowana i starannie opracowana graficznie książka Andrzeja Adama Witusika „Z raptularza historyka" ukazała się, jak i poprzednie prace tego autora, nakładem Wydawnictwa Lubelskiego.

SWW

Adam Witusik: Z raptularza historyka, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1982.

Fakty, fakty i akcja

TADEUSZ Jasiński dał się dotąd poznać jako zrównoważony autor dokumentalnych reportaży i nowelista historyczny. Ostatnio Jasiński wkłada wiele wigoru w potwierdzenie się jako beletrysta zjawisk współczesnych. W 1980 roku wydał więc powieść „Na spalonym miłość", w 1981 — „Podróż do zatrutych studni" Wyróżniają się one przede wszystkim tym, że autor w iście karkołomny sposób fabularyzuje wszystko, co wie na obrany temat

Zadania sobie przy tym nie ułatwia, dobiera bowiem najbardziej wyszukane skomplikowania wojennej i powojennej historii i dopisuje ich współczesne finały. Incipit powieści „Na spalonym miłość" sięgał przeto do tematu powojennych starć bratobójczych, „Podróż do zatrutych studni" dotyczy znacznie szerszego fragmentu dziejów ludności Opolszczyzny spuentowanych jak najniefortunniej realizacją porozumienia z RFN w sprawie łączenia rodzin. Łączenia spóźnionego o całe wyrosłe w Polsce pokolenie, a więc nie wyzbytego bolesnych rozczarowań i kolejnych dramatów indywidualnych, które bynajmniej nie są tylko dramatami indywidualnymi. Temat to nienowy w naszej literaturze W ostatnich latach przejmujące powieści poświęcili mu m.in. Albin Siekierski i Erwin Kruk Przejmujący dramatyzm pisarze ci osiągnęli przede wszystkim w wyniku ograniczenia wywodu powieściowego do jednego wątku: do przeżyć głównego bohatera

Tadeusz Jasiński nie dowierzał najwyraźniej wymowie doznań psychicznych jednostki, akcję rozpisał na trzy pokolenia śląskiej rodziny Putrzałków, na wątek polski i niemiecki — i na kilka dziesiątków lat współżycia obu tych nacji No i owe mnogie fakty rozpłynęły się pośród wielu fluktów narracyjnej rzeki która bynajmniej nie jest jakąś wielką rzeką: powieść „Podróż do zatrutych studni" liczy zaledwie 176 stron małego formatu

Feliks Fornalczyk

Tadeusz Jasiński: Podróż do zatrutych studni, Krajowa Agencja Wydawnicza, Lublin 1981.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.
Redaguje Marek Adam Jaworski z zespołem.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 13—16.
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 255-30.
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4. PL ISSN. 0137-7108. Nr indeksu 36251. Adres redakcji: 20-029 Lublin ul. Skłodowskiej 2/1.
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin I, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.
Zam 422 R-4

Barbara Radziwiłłówna

Zbigniew Kuchowicz

Fragmenty

[...] Nadzieja na poprawienie stanu zdrowia okazała się złudna. Chorą poczęły trapić dolegliwości żołądkowe, obok miejsca pęknięcia ropnia utworzył się w połowie kwietnia drugi wrzód, ten także uległ przebiciu i z niego również ciekła ropa barwy rudawej, powróciła gorączka. Choroba poczyniła straszne spustoszenie, czyniąc z pięknej, młodej i do niedawna ponętnej kobiety wzbudzający litość, bezsilny ludzki strzęp.

Barbara nie mogła jednak liczyć na liczniejsze przejawy współczucia. Konała w innej atmosferze, niż wynika to ze stylizowanych opisów XIX-wiecznych. Wieść o śmiertelnej chorobie, nawet widok powalonej niemocą, niezdolnej uczynić kroku królowej, wywołały najróżniejsze reakcje. Zygmunt August rozpaczał, szczerze bolało grono przyjaznych jej krewnych i przyjaciół. Krąg ten jednak był bardzo wąski. Zamilkli, nie okazywali żalu liczni do niedawna pochlebcy, którzy w 1550 roku, w nadziei faworów królewskich, wysławiali Barbarę. W tych dniach próby zrzucili maski, pokazując prawdziwe swe oblicza — ludzi obojętnych i interesownych. **Przygniatająca większość szlachty okazywała nie tylko obojętność, lecz wrogość. Nienawidzono Augustowej żony od momentu ogłoszenia królewskiego małżeństwa i od tej pory niewiele się zmieniło. W 1551 roku radowano się jej cierpieniem**, cieszono z bliskiego zgonu, który uwolni kraj od wyniesionej przez usidlonego króla, „czarownicy". Według kursujących relacji „obiecywano sobie po królu [...] że wróci do obyczajów królewskich po śmierci Barbary". Wiedziano, że choroba atakuje jej organa kobiece i fakt ten stawał się podstawą złośliwych komentarzy. Wielu głosiło, że umiera na szpetną chorobę. [...]

8 maja 1551 roku, w czwartek, w dniu świętego Stanisława królowa Barbara, kierując się nieomylnym przeczuciem śmierci, postanowiła pożegnać się ze światem. Prosiła o wcześniejsze odprawienie mszy, a następnie wyspowiadała się, przyjęła komunię i ostatnie namaszczenie. Dokonała praktyk, jakie jej nakazywała zaszczepiona w dzieciństwie wiara. Nie konała przecież jak dewotka czy pokutnica, nie kazała modlić się za siebie i palić gromnic. Odprawiła dworzan i księży, pozostała z Augustem. Miała go przy sobie w ostatnich godzinach życia, sprawdziły się słowa królewskie, że nie opuści żony aż do śmierci. Umierała spokojnie i przytomnie. Wycieńczony i przeżarty chorobą organizm nie powodował nawet większych bólów, ogarniała ją tylko coraz większa słabość. Przyjętym obyczajem wypowiedziała ostatnią wolę, raz jeszcze prosiła, by pochowano ją w Wilnie. (Informacje, jakoby prosiła Augusta, by po jej zgonie ożenił się i dla dobra państwa zapewnił ciągłość dynastii, nie są wiarygodne, wersje takie

powstały najprawdopodobniej wiele lat później). Król potwierdził swą obietnicę. Po tym jakby uspokoiła się, jeszcze bardziej osłabła, leżała w półśnie. Tak przebiegły ostatnie dwie godziny jej życia. O czym myślała w tych chwilach? Nie możemy na to ściśle odpowiedzieć. Na pewno wiedziała jednak, że odchodzi, i prawdopodobnie wspominała przeszłość. Wiele wskazuje na to, że jej ostatnie myśli należały do ukochanego. Baliński, za nim inni, cytuje jakiś rzekomo współczesny anonimowy rękopis, wedle którego Barbara zmarła w objęciach Augusta: „mdlejącymi rękami za szyję go objąwszy, usta jego przycisnęła do swoich i podniósłszy ku niemu oczy łzami zalane [...] Bogu ducha dodała". Wydaje się, że opis ten jest nieprawdziwy, wyimaginowany. Barbara po prostu nie miała już sił, by objąć męża, inaczej umiera się na jej chorobę. Może podała mu rękę, obdarzyła czułym dotknięciem. Pewne jest, iż odchodziła w otchłań bez jęków i rozpaczy, jakby ostatnimi przebłyskami świadomości chciała ukoić mężczyznę swego życia. Następnie straciła przytomność.

Przyszło południe, później godzina 14. Śmierć jak gdyby czekała na uderzenie zegara. Królowa Barbara przestała cierpieć, przeszła do krainy cieniów.

Zygmunt August widział, jak zachodzą mgłą i zamykają się jej oczy, słyszał przyśpieszony oddech, a następnie rzężenie, czuł, jak ustaje i milknie serce, stygną członki i złowrogi chłód ogarnia ciało Barbary. Kroniki nie podają, by król w tym momencie modlił się, niewykluczone, że bluźnił. Najprawdopodobniej czuł w tamtej chwili to samo,

co najlichszy jego poddany, co czuje każdy człowiek, bez względu na to, czy jest żebrakiem, bogaczem czy cesarzem — bezbronność człowieka wobec śmierci, kruchość i znikomość życia, nicość świata.

Następne jego reakcje były typowo ludzkie: z całą energią i starannością, jak nakazywały obyczaje, zajął się uczczeniem jej pamięci. Znamienne, że prowadził ożywioną korespondencję dotyczącą sprawy zmarłej. Widać odczuwał potrzebę mówienia i pisania na jej temat. Nazajutrz po zgonie pchnął gońca do Mikołaja Rudego. Przemyślał i wydał polecenia dotyczące szczegółów ceremonii pogrzebowych. W sobotę dnia 10 maja zwłoki Barbary odziane w czarną atłasową suknię złożono do wybitej złotogłowiem trumny. Czoło jej uwieńczono pozłacaną koroną, w prawą rękę włożono berło, w lewą jabłko królewskie z krzyżykiem, na szyi zawieszono złoty, pięknej roboty łańcuch, na palec zatknięto drogocenny pierścień. Owczesnym zwyczajem do trumny włożono srebrną tabliczkę, która krótko informowała o zmarłej. „Roku Pańskiego 1551 najjaśniejsza księżna Barbara z łaski Boga królowa Polski, Litwy, Rusi, Prus itd. pani, z rodu Radziwiłłów zrodzona, druga małżonka najjaśniejszego księcia, pana Zygmunta Augusta z łaski Boga króla Polski, wielkiego księcia Litwy itd., roku wieku swego dwudziestego ósmego jeszcze nie ukończonego, w Krakowie dnia ósmego miesiąca maja dokładnie o godzinie 14 przedwczesną śmiercią przyjęta do nieba tu pogrzebana leży" Twarz jej, jak to często bywa z obliczami zmarłych, wypogodziła się, jaśniała spokojna, łagodną pięknością.

W. Ł.

(cdn.)

Taniec nad przepaścią

Fragmenty książki Karola Zbyszewskiego pt. „Niemcewicz od przodu i tyłu".

Ostatecznie twierdza została zdobyta, mężna załoga, rycerskim obyczajem, osłabiła ten sukces niszcząc zapasy, ani jeden tort nie wpadł w gęby wraże — wszystkie zostały w porę zjedzone.

Całe okoliczne ziemiaństwo podziwiało te wyczyny. — Stać nas jeszcze na drugi Chocim! mówiono z dumą.

Ks. Adam znał z imienia i nazwiska około 100 000 szlachty — fenomenalna ta pamięć czyniła go wielce popularnym, choć pił słabo.

— A gdzież to imć pan Antoni Dembowski? — zapytał.

— Chory na dysenterię, leży w domu.

Wnet posłał książę do Harmak małego, pękatego, łysego jak kolano doktora Goltza. Dembowski był chlubą Podola: grając w mariasza każdą pulę solnizował kielichem, a gdy antałek opróżnił brał go w zęby i przez głowę — za siebie odrzucał. Z dysenterii wyleczył się własnym systemem — zjadł 30 jaj na twardo z octem i jak ręką odjął.

Uczonemu Goltzowi bardzo się ta kuracja spodobała; sam nie wierzył w lekarstwa, zamiast je przepisywać obkarmiał pacjentów różnymi przysmakami pitraszonymi przez jego osobistego kucharza. Głosił też teorię, iż klimat polski wymaga gruntownego upicia się przynajmniej dwa razy w roku: na wiosnę miast wyjazdu do wód mineralnych i na jesieni dla zapobieżenia katarom.

Niemcewicz ocierał się o żonę swego gospodarza, śliczną popadię, w przerwach napisał pieśń o Podolu. Znając dobrze historię Polski łączył każdą miejscowość z jakimś chlubnym wspomnieniem [...].

Książę zawadził o Bar. W całej okolicy nie szczepiono dzieciom ospy, lecz wszywano im w ubranie skrawek habitu ks. Marka (co prawda po ówczesnych szczepieniach dzieci o końskim zdrowiu chorowały ciężko pół roku, a mniej wytrzymałe umierały zaraz). — Oo! myślał Niemcewicz, gdybyż zamiast tego klechy na czele konfederacji stał prawdziwy wódz! Inne byłyby rezultaty!

Pan Marceli zemdlałby słysząc podobne bluźnierstwa. A tak starannie wychowywał swego pierworodnego...

Wracano przez Śniatyn — gdzie przejeżdżającemu cesarzowi Józefowi ks. Adam się pokłonił — i Lwów. Tu poznał Niemcewicz kasztelanową Kamińską Kossakowską. Głuchy, stary babsztyl uchodził za najdowcipniejszą istotę w Polsce. Właśnie cały Lwów lubował się jej dwoma ostatnimi kawałami: urzędnicy austriaccy przez butę nie zdejmowali kapeluszy w salonie kasztelanowej; zawiesiła więc w kącie miniaturę cesarza i przy pierwszej okazji hajduk jej prasnął urzędnika w mordę:

— Żeby waćpana nauczyć szacunku dla własnego monarchy! — wyjaśniła uprzejmie kasztelanowa

wskazując miniaturę. I urzędnik nie śmiał oponować.

Drugi żart był jeszcze subtelniejszy; nieprzyzwyczajona do płacenia podatków stale zalegała. Przyszedł poborca, by zająć coś cennego. Kossakowska kazała mu dać dwa wielkie srebrne nocniki pełne ekstrementów.

Kasztelanowa nie cierpiała Stanisława Augusta, lubiła naprawdę tylko Potockich (sama była z domu Potocka), a zwłaszcza Szczęsnego, którego uważała za uosobienie wszystkich cnót.

Na jesień wrócił ks. Adam do Puław. 13-go października obchodzono niesłychanie bucznie stulecie odsieczy wiedeńskiej. Niemcewicz odniósł sukcesik literacki — mimo obecności poetów o ustalonej marce jak Kniaźnin i Karpiński — on spłodził hymn okolicznościowy, przy iluminacji myczał go chóralnie cały dwór.

Zasmakował książę w Wiedniu, spędził tam całą zimę. Niemcewicz w ślad za nim wciskał się w najlepsze towarzystwo; poznał brudasa aroganckiego Kaunitza, cały korpus dyplomatyczny (zaprzyjaźnił się z posłem Szwedzkim Engeströmem), tuziny książąt, hrabiów, margrabiów. Książę Adam konstatował z zadowoleniem, że jego młody adiutant bryluje nawet w pierwszych salonach. Oświadczył tedy:

— Potrzebna ci jeszcze, mój panie Julianie, dla wyszlifowania swej ogłady, dla zyskania tematów do rozmów, dla rozwidnienia umysłu — podróż za granicę.

— Kiedy, Wielmożny mości, sercem najukochańszy ojciec mój dobrodziej nie chce dać pieniędzy.

— Wiem, że to brzydki sknera, ale masz tu 300 dukatów, jedź, a ucz się i korzystaj.

Rymnął Niemcewicz plackiem do nóg dobremu panu. Książę napisał własnoręcznie (z licznymi błędami ortograficznymi) obszerne instrukcje w których mu wytykał: powierzchowność; łapanie się za zbyt wiele rzeczy naraz i niekończenie żadnej; brak głębszej wiedzy; zły akcent francuski; nadmierną kochliwość, lekkomyślność...

Synom swej żony, Kwileckim, Domciowi Radziwiłłowi, bardziej lubianym kadetom — wszystkim młodym ludziom wypominał książę Adam zawsze i nieodmiennie powyższe przywary. zmieniał się adresat, nigdy treść, wyjąwszy złą francuszczyznę, książę sam miał wszystkie te wady co do jednej.

10-go marca 1784 r. w towarzystwie Sołtyka, synowca wariata biskupa, ruszył Niemcewicz do Włoch.

* * *

W Trieście pierwszy raz w życiu widzi morze: Aaa! Ooo! Stateczkiem wzdłuż Dalmacji, grasuje dżuma, skręt na prawo — Wenecja.

Listy polecające księcia otwierają mu wszystkie drzwi. Wszędzie się szwenda, wszystko ogląda Plac św. Marka — tu kazanie publiczne, tam poeta wiersze recytuje na zadany temat, ówdzie prostytutka za bezcen. Włazi na kopułę bazyliki, znajduje wyryty podpis Firleya — XVI wiek, słodkie wzruszenie, wnet sam skrobie swe nazwisko; tylko niepiśmienny Polak zdoła przejść koło zabytku nie osmarowawszy go.

(cdn.)

cras. 2552/1982/8